



PROTOKÓŁ

kulturowy



Nr 92 Rok XXVII ISSN 1506-1833 Poznań 2025 Kwartalnik

Teodozja Zariwna

* * *

Neuroza wisi w powietrzu
jak lampa na starym sznurku.
To wędruje w klatce piersiowej gorący rdzeń
albo podstępny piorun kulisty.
Ruiny jak z hollywoodzkiego thrillera:
dziurawe sito dachu, paszcze zębatach okien
otchłań drzwi i przerażająca ciemność piwnic.
Wściekłe załamanie Historii,
krótkie zwanie systemu z prefiksem post- .
W internecie zbiórka pieniędzy na operacje
i na wózki inwalidzkie.
Prognoza obiecuje twardo: wschodni wiatr
historii
z gradem i "Gradami", a nawet
"Huraganami".

Zapach kurzu i pyłu,
mnożony przez stopień niesamowitego upału,
ślepą trajektorię pocisku
i niemą, bezsilną rozpacz.
W łalce z oderwaną ręką
zaciął się mechanizm,
i teraz mruga, mruga, mruga
zawisnąwszy na odstrzelonej gałęzi.

Tłumaczenie - Kalina Izabela Ziola

Teodozja Zariwna

Milczenie cezu

(fragment powieści)

Przekleństwo wisiało w powietrzu bezkresnych łąk, które przechodziły w lasy i lasy, a potem znowu wyskakiwały na którymś zakręcie bitego traktu, który ciągnął się jak nitka miodu, powoli i niespiesznie, i nie było w jego łagodnej powolności powściągliwości i umiaru. To pastuszkowie przeklinali nierozumne bydło, które odbijało się od stada i szło w szkodę. To były kołchozowe buraki czy kukurydza, dobrze wygniecione z brzegu, bo ciągnęło tam krowy i jałówki, jakby coś tam było niewymownie smacznego. Nikt nie znał smaku trawy, bo czasy, kiedy ludzie paśli się jak zwierzęta, pozostały głęboko w szczelinach przeszłości, w zapadlinach i pęknięciach krwawej historii, kiedy ziarno odbierano im siłą i kiedy oni, spuchnięci

i ciężcy jak wielkie lalki, czołgali się na cmentarz i czekali tam na brzegu wielkich rowów, wypełnionych ludźmi, swojej chwili. Przekleństwo wisiało nad tą ziemią tak szczelnie, jak czarne jesienne chmury, kto wie, czy słyszał je Pan, ale pewnie słyszał, skoro pozwolił zrobić coś takiego z tymi zwykłymi ludźmi, z tym krajem, z tymi lasami i zagajnikami. Ziemia była wypełniona wymęczonymi ludźmi i zdawało się, że jęk i ostatnie przekleństwo mówiącej masy trzymały cały świat w stalowej obręczy, nie dawały mu się ruszyć i przyrzekały zemstę, jeśli nie ludzką, to niebieską. Czyje słowo, tak wzmocnione bólem, strachem i ciężarem czyjejś niesprawiedliwości tak trafiło Bogu do ucha, że nagle wszystko się zaważyło i zmieniło w piekło? I dlaczego Apokalipsa przyszła właśnie do nich? I dlaczego anioł uruchomił ostrzegawczą syrenę, a wszyscy myśleli, że to taki ćwiczebny alarm i nikt nie rozpoznał ani jego głosu, ani przestrogi?

Te pytania wisiały nad nią jak chmara czerwcowych komarów po letniej ulewie. To odlatywały, kiedy im się zachciało, to znów powracały i Charyta balansowała między tym, co przypało w losie wszystkim, a tym, co przypało w udziale jej, co sama wybrała, chociaż czy człowiek może cokolwiek wybrać sam? Wiedziała, kto ją przeklinał i dlaczego.

Akurat trwały żniwa, które były tak męczące, że nikt już nie miał głowy do Chołodionowej żeniaczki i do Lewkowego swatania, bo chciało się tylko położyć i spać, spać, spać, ale świat, jak nieznane zwierzę, nabierał rysów tyrana i budził ją każdego świtu przenikliwym trąbieniem ciężarów, która wołała na pole wszystkich, którzy jeszcze mogli chodzić, więc Charyta zasypiała w marszu, obłamując kukurydzę czy ogławiając buraki (bojąc się, że czasem tym ostrym masarskim nożem machnie sobie po palcach), cichutko przysiadając i jakichś kilka chwil odgradzając się od zniechęconego obrazu przed oczami lawiną snu, który spadał natychmiast i natychmiast, jak u zwierzęcia, odsuwał się.

I oto kiedy wreszcie przyszła niedziela i Charyta ucieszyła się, że żaden samochód nie naruszy dziś jej snu, przed świtem przyszedł ojciec.

– Czemu jeszcze rozwalasz się w pościeli – trzeba gnać krowę na pastwisko.

O mało się nie rozplakała.

– Toż naniosłam buraków na cały dzień.

– Co tam buraczanka, niech trochę się przejdą... Ale ja o Lewku. Po co to przeciągać, wychodź za niego. Akurat jesień. On nie pijak. Po Chołodionie dobrze językami cię przeżegnali – znaku nie zmyjesz.

– Jakiego znaku?

– Sama wiesz..

– Co wiem? Czy ja z nim spałam?

– Każdemu nie powiesz. W końcu Lewko – nie pijak, chce ciebie, ma ładny dom...

– Czy ja za dom idę?

– Dom – to pieniądze i wielka praca.

– Nie kocham go.

– A kto kiedy i kogo kochał? Czy tu jest taki, który byłby nieżonaty i dla ciebie dobry?

Charyta milczała, bo takiego nie było.

– Nie ma i już nie będzie. Bo przegapisz i zostaniesz na lodzie. A tak – Lewko da ci obronę przed ludzkim słowem, przed plotkami i przed starością, żeby samej nie wiekować. Bo tutaj szybko wszystko mija – rozchwytują się nawzajem, a kto nie zdąży – ten przegrał. A ty już przegrywasz.

– Ile to starszych ode mnie...

– Przegrywasz – nie latami, a chwilą – trzeba ją nosem wyczuć.

– Nie mogę – i się rozplakała.

– Trzeba wbrew „nie mogę”.

– Może trochę później, w zimie albo na wiosnę... – odsuwała jak najdalej moment tego wyboru.

Lewko przychodził od czasu do czasu, o czymś rozmawiał z ojcem i matką. Czasem odprowadzała go do bramy i kiedy brał się za nią swoimi mocnymi rękami, wzdrygała się jak od dotknięcia węża czy żaby. Ale słowami obiecała, że przyjdzie czas i wszystko się zmieni, Lewko też w to wierzył. Bo nic innego mu nie pozostawało. I kiedy przeszły zimowe zawieruchy, i kiedy zaczął kwitnąć sad i to kwitnienie było szczególnie trudne do zniesienia – i Charycie, i Lewkowi – i lato już zakreśliło się ciepłymi deszczami i wysokimi trawami, i zapachami ziół, które uderzały do głowy, nagle przyszła wieść – wojna.

Charyta pamięta – Lewko przybiegł i coś krzyczał, że zmarłowała mu rok, który mógł przeżyć jak człowiek, a teraz musi iść i umierać, krzyczał, że mógłby chociaż zostawić matce dziecko, żeby miała jakąś pociechę, a przez nią kończy się ród.

– Bo jakbyś powiedziała nie, znalazłbym sobie kogoś innego, a tak wszystkiemu jesteś winna...

– Przecież mówiłaś mi, że mnie kochasz, to jakbyś żył z inną?

– Nienawidzę cię!

Jego twarz była mokra od łez i smarków, które czasem ocierał rękawem, z lękiem czekała, czy zacznie ją obejmować na pożegnanie – ale nienawiść naprawdę wystąpiła przez jego mokrą skórę i strach tylko narastał w jej wnętrzu, więc prosiła Boga, żeby to się jak najszybciej skończyło.

– Wrócisz i wszystko u ciebie będzie dobrze....

– Co ty mnie pocieszasz, żmijo, stamtąd nikt nie wraca.

– Lewku, nie jestem winna, że jest wojna, nie krzycz na mnie...

Ale Lewko jej nie słyszał, był w nim wielki strach i nie było na niego rady.

– Bądź przekłeta, przekłeta, przekłeta, żeby ciebie nikt nigdy nie tknął i żebyś wiedziała, jak mi jest teraz.

Rzucił się do niej, przewrócił ją na ziemię i chciał zadrzeć spódnicę, Charyta broniła się jak zwierzę.

– To Chołodion może, a ja nie? – syczał przez zęby i napierał na nią ciężarem, aż brakło tchu.

– Nie spałam z Chołodionem, a dla ciebie, idioto, nie ma, nie ma...

Charyta krzyknęła i na krzyk wbiegł do domu ojciec, który na szczęście właśnie przygonił krowy z pastwiska.

– A co ty robisz, skurwysynu, w moim domu?

– Wszyscy jesteście żmije, zawracaliście mi głowę... Wszyscy, wszyscy...

– Opamiętaj się – ojciec chwycił go ręką za gardło i widać przydusił, bo Lewko zachrypiął i ciężko, tracąc równowagę, wstał.

Cofał się tyłem do drzwi, z czerwoną, mokrą, wykrzywioną twarzą, a potem odwrócił się i niemal wybiegł, tylko z podwórka dobiegał tupot. Lewko biegł, uciekając od niej, jak naraz zrozumiała, na wieki. Charyta starała się uspokoić ręce i nogi, które drżały i odmawiały posłuszeństwa, ledwie dociągnęła do ławy i trzymając się jej, przechylała się z boku na bok.

– Co, dograłaś się, a ja cię prosiłem.

Ojcu też trzęsły się ręce. Szukał za przypieckiem pudełka z papierosami i nijak nie mógł go złapać, choć leżało pod zdrewniałymi palcami. W końcu chwycił i prawie wypadł do sieni.

Działo się coś wielkiego i strasznego, co zaczynało łamać im życie, nie pytając. Teraz już nie miało znaczenia, czy ktoś wyjdzie za mąż, czy ktoś kogoś zostawi, czy nie, bo wszyscy doświadczali tak strasznych kłopotów i biedy, że cudzy los małał do makowego ziarenka, i nie było już siły ani na zazdrość o kogoś, ani na uciechę z czyjegoes bólu czy nieszczęścia.

A więc na wojnę pójdzie też Chołodion. I on tam przepadnie. Nic nie drgnęło na tę myśl ni w duszy, ani w głowie. Okrutne zło uwiło sobie w niej gniazdo i dobrze się w nim zakorzeniło. To ona może kogoś nienawidzić, a Lewko nie? Jednak jak jej niedobrze po kłótni z nim. Boże, jaki on niedobry. Czuła nawet żal, z każdą chwilą coraz głębszy i głębszy, bo zawsze nabiera wagi ten człowiek, którego tracisz czy który ciebie rzuca, pozostawiając niezapełnioną pustkę, bo nawet jeśli ktoś inny spróbuje ją wypełnić, to nigdy dokładnie nie wpasuje się w ukształtowaną przestrzeń i ta różnica zawsze będzie świadczyć o tym, że nikt nikogo nie zastąpi, jest tylko mechaniczne przesunięcie. A czy wyniknie przy tym jakaś chemia, jakaś wzajemność dwóch indywidualności, nikt tego nie wie i nie powie.

Siedziała i patrzyła w okna. Jeszcze kołysała się furtka, puszczona złą ręką Lewka, w rdeście grzebały kury, ktoś gnał krowy z pastwiska, nie widziała dobrze, kto, bo obraz trochę się rozplywał i patrzenie na niego wymagało jakiejś siły fizycznej, której nie było. Ktoś już lamentował i przeklinał, ale nie rozumiała słów, po cichutku rozpałało się i rozgrzewało piekło wśród zielonego, szalonego lata, gdzie łąkowe i ogrodowe kwiaty tworzyły bezkresny raj, ale on istniał osobno i niby kpina z ludzi wrzuconych w wir, którego sobie nie wybierali, nie chcieli i nie oczekiwali. Znowu ich okłamano, nie biorąc zupełnie pod uwagę, jak nie bierze się pod uwagę trawy, drzewa, zwierzęcia w lesie czy ryby w wodzie, zapychali nimi paszczę głodnego molocha wojny, która pożerała wszystkich bez wyjątku.

Potem Charyta nie mogła patrzeć w twarz matce Lewki. Jej podwórze, gdzie kiedyś rosło wiele kwiatów, zagłuszyła trawa, pomiędzy nią

biegały kury, pały się kozy, duch spustoszenia wisił uparcie i nieuchronnie, jak wisiła nad furtką jeszcze niestara gospodyni, czekając na listonosza.

Doszło do niej, że Lewko zaginął bez wieści i to tak piekło i gryzło Hafiję, zjadając od środka, że Charyta już prosiła Boga, żeby syn jednak wrócił do matki. Nawet z jakąś kobietą, żeby tylko przyszedł, żeby tylko nie było na niej żadnej winy, do której wcześniej się nie przyznawała, a teraz jakoś zaczęła bardzo odczuwać jej ciężar.

I ojciec też dostał wezwanie i poszedł. Matka, która opłacała mu początek wspólnego życia swoim majątkiem, cicha i milcząca, dobrze wiedziała, że gdyby nie jej grunty, nie miałaby takiego męża, jeszcze miała coś do powiedzenia za młodu, ten głos był na wagę gruntów, a potem i on przepadł, bo grunty zabrali do kołchozu, nie pytając o zgodę, a kto nie oddawał, jechał od razu na Sybir czy trafił do więzienia, kara była szybka i odstraszająca; dlatego po tym, kiedy ona stała się naraz z bogatej synowej – biedną, a jeszcze i bez szczególnej urody, która też jest posagiem, od razu zamilkła. Bała się, żeby wysoki i postawny gospodarz nie rzucił jej i nie poszedł do jakiejś ognistej młódki, a takich zawsze bywało niemało, i nie została z całkowitą przegraną – i w polu, i w łóżku, i na resztkach gospodarstwa koło domu, gdzie i podnieść worek, i przybić deskę, i wymurować piec – męskie ręce są cenne i nie do zastąpienia. A jeszcze stróż i obrońca, a to najważniejsze: nieraz zajdzie ktoś po ciemku na podwórko, tylko furtka skrzypnie jak wierny wartownik – serce wyrывa się, jeśli gospodarz w polu. A nie daj Boże, zostawi... Ale ojciec wracał – i z roboty, i od młodek, i nawet z wojny – przyszedł ze znacznym zestawem chorób i ran, więc był cichy i pokorny i niemal bezsilny. Dlatego furtka nagle przestała straszyć i swoim skrzypieniem, i swoimi nieoczekiwanymi gośćmi, i matka nareszcie się uspokoiła.

Przełożył Bogdan Zadura

Teodozja Zariwna, „Milczenie cezu”, Wyd. Towarzystwo GALERIA LITERACKA, Częstochowa, 2024.



fot. Kalina I. Ziola

Teodozja Zariwna ukraińska poetka, powieściopisarka, dziennikarka, teatrolog. Ukończyła Państwowy Uniwersytet im. Iwana Franki we Lwowie i Kijowski Instytut Sztuk Teatralnych im. I.K. Karpenki-Karego. Autorka siedmiu zbiorów poezji, pięciu powieści, kilku sztuk teatralnych i filmów dokumentalnych. Prezentowała programy literackie i kulturalne w telewizji ukraińskiej. Laureatka wielu nagród literackich. Tłumaczyła z angielskiego dzieła teatralne (Arthur Miller „All My Sons”; Brian Friel „Dancing at Lughnasa”, „Translations”), książki z języka polskiego (Wiesław Myśliwski „Requiem dla gospodyni”, Kalina Izabela Ziola „Chłodny dotyk wiatru”), serbskiego (Duszan Kowaczewycz „Radowan III”), opublikowała też po ukraińsku książkę chińskiego poety Jidi Majia „Words from the Fire” oraz wiersze ponad trzydziestu współczesnych poetów polskich.

W październiku 2024 nakładem wydawnictwa Galeria Literacka w Częstochowie ukazała się książka Teodozji Zariwny „Milczenie cezu” w tłumaczeniu Bohdana Zadury.

Elżbieta Juszcza

Chmury

Wyzwolić się z historii
- dobrze powiedziane. Ale jak?
Kiedy w rodzinnym mieście chodziliśmy
po niemieckich parkach ucząc się
rosyjskiego.
Kiedy deptaliśmy pruski fort myśląc
o Napoleonie.
Kiedy dziadek Iwony wrócił z Workuty
i zaraz umarł.
Kiedy zawsze ktoś tańczy wariacki taniec
na mapie Europy.
Mieliśmy swoje chmury, ani polskie,
ani niemieckie.
Mieliśmy swój wiatr, który płał
drogę kupcom
na wielkich wodach.
Mieliśmy Ziemię i jej drzewa, ptaki i węże.
Mieliśmy Boga Rzeki wąskiej i porośniętej
w typie jaszczurki,
lub szerokiej i dostojnej, której blask
niejednego oślepił.
Mieliśmy swoje konie, leśne dukty,
wodospady
i wielkie polany pamiętające średniowiecze.
Mieliśmy swoje tajemnice i miłości,
i liście spadające z drzewa, i jeszcze więcej.
Mieliśmy Andersena, którego kochaliśmy,
choć później przyszła Myszka Miki
i amerykańscy aktorzy.
Ale nikt nie wyrwał z nas pruskiego błękitu
i czerwonej gwiazdy, bo to nasze dzieciństwo.
A chcieliśmy to wyrzucić, wyrzucić
i być normalni.

Elżbieta Juszczak

One

Szyły. Babka szyła, matka szyła, Biedna Mała C. szyła. Dziergały, wyszywały. Hafty richelieu, krzyżykowe, mereżki. Wzory. Kwiaty z rozłożystymi płatkami, płatki róż, maki, secesyjne powoje. Cokolwiek. Ale nie były to makatki w rodzaju „Czysta woda zdrowia doda” z dwoma łabędziami i okrągłą buzią dziewczynki lub chłopczyka. To pozostawiły prababkom w dużych i ciemnych kuchniach. Wiejskich. Teraz ta orgia serwet, nakryć, serwetek, kołnierzyków potrzebna była do przestronnych pokoi, czystych wnętrz, ciemnych mebli. To ocieplało, zmieniało wnętrze, no gemütlich, cała ta pasmanteria, ten kobiecy wiktoriański świat, ta architektura przynależna kobietom. Igła i kłębek, igła i nitka, igła i ręka, igła i płótno.

Szyły zawzięcie, jakby losy świata zależały od nich. Jakby era mężczyzn uległa przerwaniu, jakby leżała odcięta grubymi nożyczkami. I nie szyły tylko z chęci. Musiały. Gdyby nie ich zmysł, świat nie posiadałby szyku, fartuchy szkolne pozostałyby ponuro granatowe, a płaszczyki nie byłyby piękne, krótkie, a zimą – skarpetki – kolorowe.

Dzieci były zadbane, mężczyźni przygotowania do wyjścia, kobiety eleganckie. Marynarze nie przywozili jeszcze niczego, a przecież na ulicach widywano wytworne kobiety, mężczyzn w garniturach z jasnej wełny z szerokimi klapami. Tylko buty były brzydkie. Skąd wziąć buty w latach pięćdziesiątych? Buty – to był skarb od szewca z ulicy Parkowej. To prawie niemożliwe, ale ulica Parkowa istniała wśród ulic Lenina, Walki Młodych i Armii Czerwonej. Ulica Parkowa w gruncie rzeczy była czymś niestosownym, czymś rewizjonistycznym, była zwykłą kontrabandą w Ost. Ale właśnie – była. Pachniało na niej gorącymi bułkami i smołą. Z boku była smolarnia do produkcji papy.

Szewc Boko szył delikatne buciki z cielejcej skórki. Miał siwy łeb, małe oczka i olbrzymi umorusany fartuch. Tam Biedna Mała C. zapuszczała się sama albo z bandą chłopaków.

– Eee, Boko, pokaż oko! – wrzeszczały dzieciaki i uciekały stamtąd – na ulicę Lenina, nad morze, do pałacu Göringa.

Boko siedział w podwórku przy Parkowej i przyklepywał szewskim młotkiem przyszły but. Cokolwiek by się działo, Boko siedział i siedział, przyklepywał i przyklepywał. A wieczorami patrzył w gwiazdy. W odległym mieście powstawała spółdzielnia „Dobry But” i inspektor z Urzędu Miejskiego już od miesiąca nakłaniał Boko do przeprowadzki. Ale on nie nadawał się ani do przeprowadzki, ani do spółdzielni „Dobry But”. Nadawał się do siedzenia w Ost w ciemnym podwórku i gapienia się w gwiazdy. Jak wilk, jak wyrzutek. Nadawał się do szycia komunijnych butów Biednej Małej C., która i tak krzyczała z chłopakami:

– Eee, Boko, pokaż oko!

A przecież oko miał siwe i melancholijne. Jak to szewc.

Teraz mama szyje płaszczyk. Piękny błękitny płaszczyk ze srebrnymi lamówkami. Dla Biednej Małej C. Ona sama jest bardzo dumna z płaszczyka. Mama mówi, że będzie miał okrągły kołnierzyk i dwa rzędy guzików. Biedna Mała C. najbardziej dumna jest z granatowych guzików. Są duże, prawie tak wielkie jak kasztany, które trzymała dzisiaj w ręce, może nie tak ciepłe jak kasztany, ale równie piękne. Szkoda, że na każdym guziku nie ma domku, ogródka i kota. Ale Biedna Mała C. pociesza się, że zamiast kota i ogródka będą rękawy ze ślicznymi mankietami, a płaszczyk będzie rozkloszowany jak abażur lampki nocnej.

O, teraz Biedna Mała C. nie pozostanie w klasie w ławce jak wtedy, kiedy nie miała granatowego fartucha. Fartuch był brzydki i zapomniała go założyć.

– Jak to zapomniałaś? – powiedziała nauczycielka i pozostawiła ją za karę w klasie. – Nie możesz iść do domu.

„To było okropne” – myśli Biedna Mała C. i szybko, jak najszybciej, chce zapomnieć ten okropny dzień. To upokorzenie, kiedy prawie goła, bo bez fartucha, nie wychodziła z klasy.

Teraz mama szyje płaszczyk. Błękitna miękka wełna spada z czarno-złotego blatu maszyny Singer. Singer ma mocne czarne ramie, nad nim błyszczą połyskujące kółko, a mama rytmicznie depcze pedały pod maszyną. W pokoju słychać turkot. Turkot napełnia cały dom. Drobna igła sunie przez płaszczyk jak łyżwa po zamrożonym jeziorze i wgryza się w materiał, a Biedna Mała C. rozumie, że wszystko jest na miejscu – ona, mama, maszyna Singer i cały świat, co zapada za oknem w gęstą ciemność. Noc jest od ciemności, dzień od słońca, mama od Singera, a ona od tego, żeby wbiegać po schodach.

Jutro rano wybiegnie z kuchni do szkoły, może w płaszczyku, bo mama będzie szyła długo w noc, wybiegnie i stanie pod złotą kulą na ulicy, po której chodzi podobny do diabła pan Wincenty, przy której mieszka pijak Zabutowski, starsi państwo z flakonami na toaletce, a na parterze ich kamienicy – mężczyzna o smagłej, ciemnej cerze. Straszy Biedną Małą C. złymi minami. Ale to wiadomo, dla żartu.

Tak naprawdę wszystko jest na swoim miejscu, groźna nauczycielka, która wyróżnia córkę przewodniczącego Miejskiej Rady, Rudy, który nie lubi C. i pani Raczevska, która uczy ich śpiewu i dobrych obyczajów. Wujek Stalin czuwa nad szkołą i ich ulicą, prezydent Bierut spogląda poważnie z portretu nad tablicą, a pani Raczevska intonuje pieśń: *Pust’ wsiegda budiet sołnce*. „Ach, jak dobrze – myśli Biedna Mała C. – że nie jestem Amerykanką, bo musiałabym zjadać biedne małe Murzyniutki. Ach, jak dobrze, że wypędziliśmy złych hitlerowców, którzy zostawili nam maszynę Singer. Ach, jak dobrze, że patrzy na mnie prezydent Bierut, z przyglądzonymi włosami, że wszędzie słychać śpiew. Nawet Rudy jest dzisiaj mniej rudy i mniej ordynarny. Ach, ach”.

Elżbieta Juszczak, fragment powieści:
„Biedna Mała C.”, wyd. Novae Res, Gdynia 2024.

Danuta M. Zasada

Tropem hiszpańskich matuzalemów

Podróżując niespełna tydzień temu po małe przyjaznych, wulkanicznych górach jednej z Wysp Kanaryjskich, Gran Canarii, przypomniałam sobie pewien zbiór esejów Francisco Javiera Díeza de Revengi, wykładowcy i krytyka specjalizującego się w poezji hiszpańskiej pierwszej połowy XX wieku. Tytuł owej książki brzmi: *Poesía de senectud, Guillén, Diego, Aleixandre, Alonso y Alberti en sus mundos poéticos terminales* (*Poezja starości, Guillén, Diego, Aleixandre, Alonso y Alberti w swoich poetyckich światach terminalnych*, Anthropos, Barcelona, 1988). Tak się jakoś ostatnio składa, że coraz częściej docierają do mnie opowieści o ludziach w podeszłym wieku – najczęściej są to rodzice przyjaciół i znajomych, ale również osoby znane ze świata mediów, a już na bardzo prywatnym gruncie jest to snuta osobiście opowieść mojej dziewięćdziesięciodwuletniej Mamy o podejmowanym przez nią codziennie trudzie życia. Mimo najlepszej, jaka możliwa jest w tak poważnym wieku, kondycji psychicznej i fizycznej, jest to jednak trud, wysiłek woli, aby sprostać kolejnemu otwierającemu się przed człowiekiem odcinkowi czasu, jakim jest dzień.

Refleksje kogoś, komu los ofiaruje długie życie są godne uwagi. Pozwalają nam wnikać w świat dawniejszy, w którym żyło się inaczej, poznawać i zapamiętywać sposoby na radzenie sobie z życiem; tamtym, minionym, ale któż zapewni nas, że te drobne *trucos*, jak mówią Hiszpanie, czyli sposoby na radzenie sobie z codziennością, nie przydadzą się kiedyś i nam, w przypadku nagłego kryzysu. Poeci różnią się tutaj od zwykłych śmiertelników tym, że potrafią swoje doświadczenia przelać na papier. Profesor Revenga swój esej rozpoczyna refleksją na temat Miguela de Unamuno, hiszpańskiego filozofa, poety, rektora Uniwersytetu w Salamance, który w 1910 roku odwiedził Gran Canarię jako gość honorowy konkursu literackiego odbywającego się w stolicy wyspy Las Palmas. Podróżując przez miesiąc po wyspie i jej miasteczkach zagubionych w wulkanicznym pejzażu Unamuno miał wrażenie, że podróżuje w głąb piekła, a otaczające go góry wydały mu się „burzą zaklętą w skały”. Osiemnaście lat później, po tym jak urodził mu się wnuk, zaczyna jako 72-letni mężczyzna pisać swój dziennik – *Cancionero* (*Śpiewnik*), który urywa się trzy dni przed śmiercią. Francisco Revenga czyni ukończenie 70 roku życia cezurą dla swojego wyboru poetów tworzących „poezję starości”. Jak podkreśla, w tamtym okresie aktywność twórcza po siódmym krzyżku nie była czymś powszechnym, stąd owo kryterium. Dla większości owych wiekowych poetów wielką wartością ich życia była możliwość pracowitego spędzania swoich dni. Gerardo Diego mając 79 lat pisze, iż może to być wiek najbardziej produktywny pracy i utożsamia pracowitość poety oddającego się pisaniu z dyscypliną. Jako przykłady tytanów pracy wspomina przyjaciół – zmarłego niemal w wieku stu lat filologa i historyka Menendezza Pidalą i Pabla Picassę, u których podziwia twórczą płodność i pracowitość w tak zaawansowanym wieku. Inny poeta Rafael Alberti również stara się bronić staro-

ści jako okresu wyćężonej pracy. Jest to motyw wy-

PROTOKÓŁ
kulturalny

Nr 92/2025

brzmiewający często w twórczości omawianych poetów. Utrata sił, oddalenie młodości, którą wspomina się i obserwuje z aktualnej pozycji niczym coś dalekiego, pamięć przeżytego czasu i wspomnianie dawnych przyjaźni to elementy z których poeci konstruują swoją tożsamość. Prawie u każdego z nich pojawiają się refleksje na temat czasu nocnego – jest on czasem kontemplacji gdyż wiąże się z bezsennością, a nadejście świtu to nie szczęśliwy początek dnia, ale splecenie się snu z tym, co niesie najbliższa przyszłość (Alberti) lub też powrót do monotonii i uczucia rozkładu (Vicente Aleixandre). U Albertiego silnie wybrzmiewa niepokój związany z przemijającym czasem, co widać w zmieniającej się naturze i porach roku, szczególnie w jesieni. Podkreśla on także odhumanizowanie miasta, w którym brak jest kontaktów społecznych, przez co staje się ono miejscem niebezpiecznym (wiersz *Roma, peligro para caminantes* [*Rzym, niebezpieczeństwo dla przechodniów*]). Jorge Guillén mówi o strywalizowaniu współczesnego życia i podkreśla wartość walorów moralnych, które schodzą na drugi plan w materialistycznie nastawionym społeczeństwie. Oprócz wspólnych motywów u każdego z poetów znajdujemy wątki osobiste charakteryzujące podejście do starości. Zależą one od wyznawanego światopoglądu. Damaso Alonso bezustannie wyraża wątpliwości co do losu człowieka po śmierci i w jego przeznaczenia na ziemi. Gerardo Diego postrzega kres życia zgodnie z ortodoksyjną nauką kościoła katolickiego i przywołuje ton średniowiecznego poety Jorge Manrique, u którego brzmi pytanie *ubi sunt?*, gdzie są ci, którzy kiedyś żyli. Alberti ukazuje oblicze agnostyka, jednocześnie dostrzegając w takim ujęciu grozę. Aleixandre przyjmuje postawę akceptacji losu, ale bez gotowości biernego mu się poddania. Unamuno akceptuje śmierć jako coś nieuniknionego i zauważa, że żyć bez końca byłoby Donkichotowskim szaleństwem. U każdego z poetów pojawia się umiłowanie życia, u niektórych silnie splecione z protestem przeciwko wojnie, która życie zabiera. Bunt przeciwko okrucieństwu łączy się z myślą o konieczności obrony praw człowieka.

Jest coś heroicznego w tych zaklętych w wiersze zmaganiach ze śmiercią. Jest też, co wydaje mi się ważne, brak obawy że zostanie się zapomnianym, raczej przebiega poczucie skupienia się na kontakcie wspólnotowym, na wspomnieniach przyjaźni, na szukaniu pocieszenia i wartości w życiu społecznym, w ramach ludzkiej humanistycznej solidarności. Wydaje się jakby wзираła z tych zmagani olbrzymia, kryjąca się w wulkanie życia kultura Iberii pozwalająca cieszyć się kontaktami sąsiedzkimi, czy towarzyskimi nawet w starszym wieku. Owszem, gdzieś objawia się temat samotności (Albertiego „samotność wśród ludzi”) ale nie jest on nutą przewodnią poezji hiszpańskich Matuzalemów. Czy to znak tamtej epoki, czy tamtej kultury?

Moja 92 letnia mama wciąż narzeka na samotność.

Stanisław Chyczyński

Zmierzając ku krawędzi

Od wielu lat Stefan Pastuszewski nie przestaje mnie zadziwiać. Wiersze, opowiadania, powieści, dziennik, publicystyka... Teraz biorę do ręki najnowszą książkę poetycką o symbolicznym tytule *Na krawędzi* (2024). I tamże czytam: „słyszę ten złoty szum słońca / lasu oddech / ciszę / i z tych słów przeźroczystych / wiersze mi się piszą”.

Gros wierszy z omawianej książki (wprost lub nie wprost) łączy motyw krawędzi, symboliczne pojęcie (nie)widocznej granicy między światami, stanami, przestrzeniami, sytuacjami etc. Sławny filozof i psychiatra niemiecki, Karol Jaspers, wprowadził celne pojęcie «sytuacji granicznej», które zrobiło ogromną karierę w egzystencjalizmie. Chodzi o wyjątkowy moment w życiu, stawiający człowieka w brutalnej prawdzie wobec siebie samego, wobec nieubłaganego losu, wobec autentycznej trwogi. Sytuacja graniczna, ze względu na bardzo osobisty (jednostkowy!) wymiar, niemożebność personalnego zastępstwa lub jej „przeskoczenia”, jest przejawem konieczności metafizycznej. Oczywiście, najmocniejszym przykładem sytuacji granicznej jest zejście śmiertelne. Do TAKICH sytuacji egzystencjaliści zaliczali także cierpienie (chorobę, kalectwo, ból istnienia), walkę o przeżycie, a nawet... poczucie winy. Jak widać, wszelkie tego typu sytuacje – skojarzeniowo – łączą się naturalnie z wymownym motywem krawędzi. *Et vice versa* – w poezji bydgoszczanina silnie wyeksponowana krawędź staje się metaforą sytuacji granicznej.

A co można robić *wobec* krawędzi? Zbliżać się do niej, (ryzykancko) siedzieć na krawędzi, balansować, wreszcie – po prostu spaść lub skoczyć!... Stefan Pastuszewski jeszcze do „krawędzi czasu” nie dotarł, a przynajmniej tak uważa. Jednak, jako samoświadomy «byt-dla-siebie», doskonale wie, albo też przeczuwa? („ból martwiejącej nogi”, „noga bolała jak zwykle”), że nieuchronne zbliża się coraz rychlej, a nawet może raptem wyskoczyć jak diabełek z pudełka („otarty bok samochodu / o krawędź po naszej stronie / jednak jeszcze naszej”) i potem „gilotyna końca”. Dawniej, jako poeta (zauroczony egzystencjalizmem?), narzekał na sytuację podstawową: niezbywalne uwikłanie kruchego podmiotu ludzkiego w „godne pogardy urządzenie świata”. Dzisiaj zaś coraz bardziej „zbliża się do krawędzi”, czyli znajduje siebie w obliczu przerażającej sytuacji granicznej. „Anioł samozniszczenia dojrzewa do czynu” – o, czyżby ktoś tutaj zamierzał „wyrwać się samemu”?... Na szczęście podmiot liryczny posiada ekscytujące wspomnienia, poważne, malownicze sny i „w kwiecistej sukience” przyjaciółkę, która może zaszerwować „ciepłą dłoń”, „szczęście dotyku” i „radość dwojga ust”. Stąd skarga albo wyznanie: „codziennie rzeźbię od nowa/ ten świat we mnie i poza mną”. I słusznie, oby jak najdłużej, Panie Stefanie!

Stefan Pastuszewski: *„Na krawędzi”, IW „Świadektwo”, Bydgoszcz 2024.*

Ryszard Biberstajn

Sielskość i niewola

Pożółkłe kartki, przybrudzone w narożnikach, w grzbiecie zszyte „na okrętkę”, by całość się nie rozsypała, miękka okładka z widocznymi zagnieceniami... Ilustracje Zbigniewa Rychlickiego, gruba, uproszczona kreska, a na nich łąka, las, pola, przycupnięte przy drodze wiejskie chaty... *Znam was, znam od dziecka* – pisze w pierwszym wierszu Janina Porazińska.

Jedną z najważniejszych książek moich wczesnych lat, „Psotki i śmieszki”, przed unicestwieniem ratowałem na swój dziecięcy sposób. Gdy się rozpadła, szydłem zrobiłem przy grzbiecie dziurki i mocnym sznurkiem potraktowałem. Zewnętrzną oprawę grzbietu wykonałem z brystolu, dzięki czemu książka, wydana w 1963 roku, ocalała i ma się dobrze do dziś.

Wracam do niej nie tylko ze względu na oczywisty sentyment do własnego dzieciństwa, lecz także z uwagi na te ilustracje Rychlickiego, które w znacznej mierze ukształtowały mój sposób postrzegania pejzażu, wyznaczyły kryteria estetyki – oszczędnej, uproszczonej, sprowadzonej do z jednej strony realistycznego detalu, a z drugiej – wielce symbolicznej i pobudzającej wyobraźnię, wkraczającej w sferę baśni, sielskich klimatów, harmonii. Takiej właśnie dziedziny, w której świat ogranicza się do linii horyzontu, a bieg czasu wyznaczają codzienne rytuały prac gospodarskich, rzadkich chwil wytchnienia, a wszystko to powtarzalne, wpisane w kolisty czas odwiecznego mitu. Tę cykliczność regulują świty i zmierzchy, dnie i noce, pory roku, narodziny i przemijanie.

„Psotki i śmieszki” to bodajże najbardziej „zaczytany” tom z moich zbiorów. Nic w tym dziwnego, bo często wracam do niego, poczytuję na nowo i przyglądam się ilustracjom Rychlickiego (znanego także ze stworzenia plastycznej postaci Misia Uszatka). Niektóre wiersze Porazińskiej z tego zbioru znam na pamięć. Ten rodzimy pejzaż pobrzmiwa mi w uszach wraz z imperatywem: *Wiatr od Wisły leci górą. / W atramencie maczam pióro. / Wiatr kołaczę w me okienko. / Piszę. / Będziesz tu, Jagienko. / I las będzie, płot i rzeczka, / chata...*

Niedawno zająłem do tej książeczki nie tylko przez zwykły sentyment do „kraju lat dziecińczych”. Wpadły mi bowiem w ręce tomiki poetki z Nowego Tomysła Wiesławy Ptaszyk, które obudziły we mnie to wciąż bijące źródło. Jakież jednak inne, za sprawą poetki, prowadzą do niego ścieżki! Co prawda sceneria podobna, pewne cechy mityzacji rzeczywistości też. Jest to widoczne w „Gdzie powraca moje słowo” (Lublin 2019), a zwłaszcza w zbiorze „Przenikanie” (Lublin 2021). To niemal w całości powrót poetki do własnych rodzinnych korzeni. Babcia Julka, dziadek Antoni, prababcie Apolonia i Wiktor, Franciszek, Feliks, Irena... Ileż tu prostoty, wedle której *w mig znikają kartofle / popijane maślaną // przydrożna kapliczka / stoi do dziś* („dwojaki” z tomu „Przenikanie” – w tytułach utworów autorka stosuje małą literę). Podobnie bywa w „Spacerniaku” (Lublin 2023). Tu także *oparcie można znaleźć / w omszałym dębie //*

*w zgrabnej niszy / posiedzieć bez ruchu // po chwili
sfrunąć z nieba / rozśpiewane dzwońce („współ-
brzmienia”). Poetka jest nie tylko historykiem, lecz
również oddaje się pasji fotografowania. Widać to
w jej tomach; piękne, niekiedy wystylizowane
pejzaże i detale przyrody stanowią niewątpliwy
walor tych publikacji. Wydawca Tomasz Kowalczyk
wskazuje ponadto na obrazowość poezji Ptaszyk.*

W tej na pozór bezpiecznej przestrzeni
kończy się jednak podobieństwo z sielskim światem
kreowanym przez Porazińską. Wydaje się to oczy-
wiste, choćby z uwagi na różnego odbiorcę. Oto
bowiem okazuje się, że w ten sielski teren, podda-
ny porządkowi czasu i przestrzeni, wdziera się coś,
co najogólniej można nazwać dramatem istnienia,
a w szczególności – biedą chłopskiej codzienności,
walką o przetrwanie, lękiem o jutro, przemocą
domową itp. Szczególnie dużo jest takich motywów
w „Spacerniaku”: *postać władczygo ojca / mnożyła
się po zmroku / nagle mógł wyjść z wikliny / albo
czekać pod mostkiem („czuwali do rana”), bezsen-
ne noce chłodne poranki / dla swojej mamy być
ojcem i matką / szukać w pościeli zagubionych
dzieci („równowaga”)* – to tylko przykłady pierwsze
z brzegu. Bo też kosmos W. Ptaszyk daleki jest od
sielanki. Wdziera się w niego trudna codzienność
życia chłopskiego na wsi, trawionej walką o prze-
trwanie, i to całkiem dosłowną, więc *cisza / nie
przynosi ukojenia („przenikanie” z tomu pod tym
samym tytułem)*. Jest to zresztą codzienność,
z której trudno się wymknąć. Trzyma ludzi w niej
tkwiących w karbach swoistej niewoli, stąd nawią-
zanie w tytule zbioru do rygorów więzienia. Wszak
spacerniak to miejsce codziennego spaceru osa-
dzonych w przestrzeni ściśle ograniczonej. Tak więc
w tych wierszach przeważa brak perspektywy wyj-
ścia, szczególny przymus bycia tu, a nie tam –
gdzieś za horyzontem. Na szczęście poetka i w tym
ograniczeniu znajduje niekiedy szczeliny wolności.
Taki poetycki oddech zapewniają m.in. wiersze
„grudniowa otulina” czy „tu”. Zatem rację ma Anna
Luberda-Kowal, które we wstępie do „Przenikania”
pisze, że to *cichy hołd złożony przez autorkę zwy-
kłym ludziom, którym historia zgotowała niełatwe
życie. Życie przyziemne, znojne, skreślone według
benedyktyńskiej reguły, w posłuszeństwie, we
własnym cieniu*. To „odczarowanie” przeszłości wsi
wpisuje się w modny ostatnio nurt piśmiennictwa,
które weryfikuje historię, dotychczas tworzoną
z perspektywy elit. Wystarczy tu przypomnieć
publikacje z ostatnich lat, np. „Chłopki” i „Służące
do wszystkiego” Joanny Kuciel-Frudryszak, „Pańsz-
czyzna” Kamila Janickiego, „Obrońcy pańszczyzny”
Adama Leszczyńskiego.

Poezja Wiesławy Ptaszyk współbrzmi więc
z zasadniczą ideą tych historyczno-publicystycz-
nych pozycji, skutecznie przeciwstawiając się zmi-
nologizowanemu obrazowi wsi, jaki decyduje
o klimacie twórczości (poetyckiej i prozatorskiej) na
przykład Tadeusza Nowaka czy literatury dla dzieci
(Janina Porazińska). Odkłamywanie tego wizerunku
jest ponętną propozycją dla współczesnej poezji
i właśnie to wyzwanie podejmuje Ptaszyk. To wy-
starczający powód, by uznać tę twórczość za wartą
uwagi. Wydaje się bowiem, że tomiki, a w szcze-
gółności „Przenikanie”, zostały skomponowane
w stanie wyższej konieczności, jako próba rozlicze-
nia się z własnym dzieciństwem, korzenną rodziną,
traumami i znojem ówczesnej codzienności. Dłate-
go trudno zgodzić się ze stwierdzeniem Doroty
Chołody we wstępie do „Spacerniaka”: *Czyż nie
jest tak, że życiowe trudności doskonałą nas, pro-*

*wadzą na wyżyny człowieczeń-
stwa?.* Ależ nie, wcale nie
prowadzą i ta poezja nic takie-
go nie sugeruje. To wyraźne wobec niej nadużycie
i spłylenie jej przesłania. Ta twórczość nie jest ani
miła, ani w swej wymowie łatwa i nie prowadzi do
takich wzniosłych konstatacji, za to przecież dzięki
temu właśnie jest ważna i potrzebna.

Jeśli natomiast jako czytelnik będę potrze-
bował optymistycznej (i tylko takiej) wizji rzeczywi-
stości, to powrócę znowu do Janiny Porazińskiej,
a Wiesławę Ptaszyk zostawię sobie na te chwile,
w których bywam gotowy na podjęcie głębszej
refleksji o dramacie istnienia.

Katarzyna Michalewska

Wieża pożegnań

Dla Taty

Jaskółki uderzały w okno
na siódmym piętrze owad
przyklejony do szyby
koniki morskie w Inianej torbie
świat powietrzny świat wodny
biała chmura która nie zniknęła
o zmierzchu
głos z nocy: czy wciąż jeszcze
świeci ta gwiazda?
motylki w brzuchu na rękach
żyła złota pod obojczykiem
umieranie jako cierpka wisienka
na urodzinowym torcie
nagi martwy świerszczek obejmujący się
rano na posadźce w łazience
wzięłeś ze sobą wszystkie moje
tajemne słowa: szadzi szad
rzeźbulka namiotować
psalmodia o jaskółce na niedzielę zwykłą
wiatr słaby padać nie powinno
upał i łagodna burza na Jeziorze Galilejskim
z obrazu Rembrandta
dzień świętego Jakuba i innych synów gromu
nagle zamglenia zatrwanu
mgła nad schodzącym lasem
wspomnienie na 27 lipca
ścieżka nad reglami chmury
jak zmierzwiłone włosy z białej wełny
fartuchy cewniki prześcieradła
przynosiłam mu codziennie
tylko jedno ostrze
kołysz mnie jak rzeka Jordan
prowadź nad wody gdzie
mogę odpocząć – łęgi nadwarciańskie
rocznica śmierci rzeki
Zalew Kainów
magiczny kot - bączek
kręcący się wkoło księżyc koźlarzy
święty Michale Archaniele zarażasz mnie
bezsennością na nocnych dyżurach
sen i przebudzenie
jakich żaden folusznik
wybielić nie zdoła

Danuta Ewa Dachtera

Waga czasu

Niewolnicy zegarka
czy czasowi podlegli
Tacy byliśmy – signum temporis

Dzisiaj inna już moda – slow life
i uważność spokojna

Może to i lepiej
gdyby nie ta wojna
co przywraca wagę czasu
tego
nadal odmierzanego
przez kremlowskie stare zegary

Tik tak
Tik tak

Stanisław Romaniuk

U źródła

Kto w wodę patrzy, jak w szklaną kulę,
zobaczy płomień co życie roznieca;
a się zjednoczy z pełniącym się cudem –
znajdzie dni zaródź i ranek człowieczy.

Niech się nie lęka wśród znacznych powodzi,
co topiąc jedno, drugie w niebo wznoszą,
fala za falą płyną tym potopem
płódząc i rodząc ze śmierci podnosząc.

Kto nie zna trwogi, zbada tajemnice,
które zakryte przed trwożnymi będą,
gdyż tylko dla tych zostaną odkryte
co w głębię jasno patrzeć się nie zleką.

Anna Elżbieta Zalewska

Krajobraz majowy

parne powietrze
unosi się nad miastem
wiatr bawi się chmurami
granatowe niebo
zapowiada burze
deszcz gwałtownie
z gradem
uderza o szyby
oddycha ziemia

Krzysztof Szymoniak

lęki

nie lubię spotykać znajomych
boję się pytań każda z nimi rozmowa
po minucie staje się grochem o ścianę
każda moja odpowiedź układa się
w zabobon lub dwuznak dwójmyślenia

nie lubię gdy kłopoty jak stado wróbli
toczą ze mną boje o kilka ziaren kaszy
boję się zmysłowej rozkoszy która
wyprawia mnie za morza z tobołkiem
jałmużnika i pytaniem bez odpowiedzi

zostały mi prace dworców kolejowych
nie pukajcie więc do moich okien tu
nie ma mojego czasu to tylko długi
niedobry sen prawdziwej powieści nie
napiszę nie zasnę na kwiecistej łące
nic już się nie zdarzy chyba że obudzę się
przed miłym końcem płonącego świata

Krzysztof Szymoniak

trudne słowa

algorytm
imperatyw
paradygmat

oto trudne słowa pierwsze z brzegu
ktoś je wymyślił do czegoś one służą
na przykład naukowcom lub politykom
a nawet niskobudżetowej publiczności
letnich festiwali wszelkiego typu

trudne słowa to takie że gdy je wypowiadasz
w twojej głowie nie wyświetla się żaden
konkretny przedmiot jak choćby
koń taboret marchewka

znam inne trudne słowa
ty ja my nasze dziecko nasi rodzice
gdy je wypowiadam w mojej głowie
otwierają się oceany i pustynie
w moim sercu drży cienka struna trwogi

potem trzymam się stołu drżącą ręką
patrzę przed siebie w ścienny kalendarz
i w wydrukowane na nim tłustym drukiem
trzy najtrudniejsze dzisiaj słowa
bóg... honor... ojczyzna...

KOCHANEK

Dyskusja z kochankiem była gwałtowna. On siedział w skórzanym fotelu i palił papierosa.

Dym wypełniał przygnębiającą i napiętą atmosferę.

Ona tymczasem tłumiła gniew i wszystko to, co chciała mu wyrzyczeć.

Pomimo nieszczęścia, jego twarz rozjaśniał makiaweliczny uśmiech. Niezauważony przez niego dym, wywołany jej spojrzeniem, przybrał kształt noża.

Eksperci medycyny sądowej nie potrafią wyjaśnić, dlaczego liczne rany zmarłego wydzielają zapach papierosów.

SPIRALA

Z tego zgniłego ciała wychodzą larwy, które pełzają i proszą o litość, z larw wychodzą motyle, z motyli wychodzą ptaki, z ptaków wychodzą nietoperze, z nietoperzy wychodzą demony, z demonów wychodzi ogień, z ognia wychodzą strzały, które zabijają tego, który leży gnijąc i z którego wylęgają się larwy.

KONCEPCJE

Pewnej niedzieli Bóg postanowił poświęcić swój dzień odpoczynku, łamiąc własne zasady. Długo spacerował wokół swego ogromnego i doskonałego dzieła. Zastał mrówki

w godnym podziwu porządku i pogratulował im ciężkiej pracy, po czym kontynuował przechadzkę. Zobaczył pszczoły i skosztował ich wysmienitego miodu. Gonił za niespokojnymi motylami, jednocześnie kontemplując kwiaty, na których odpoczywały.

Był bardzo zadowolony i usatysfakcjonowany swoim dziełem, aż zauważył osła na poboczu drogi, próbującego podnieść flet.

Obawiając się strasznych konsekwencji, nakazał mu zaniechać tego działania i podążyć dalej. W rytm kilku okrzyków Bóg odszedł z całkowitą ufnością, że wszystko będzie postępować tak, jak było nakazane od początku czasu.

ROZLEGŁOŚĆ SŁOWA

Gdy byłem dzieckiem, przed moimi oczami rozciągała się ogromna równina. Minęło dużo czasu, a moje dziewięćdziesięcioletnie oczy wciąż nie zdążyły jej zbadać.

WSPOMNIENIA

Żegnając ojca, jego dwuletnia córka daje mu na pamiątkę swoją lalkę. Dwa miesiące po wyjeździe na północ ojciec powraca w drewnianej skrzyni. Matka, w akcie miłości, pokazuje córce martwe ciało jej ojca. Dziewczynka nie może sobie wyobrazić, co się stało, rozpoznaje jedynie swoją lalkę, którą ojciec delikatnie trzyma w rękach.

Tłumaczenie z języka hiszpańskiego
Kalina Izabela Ziola

Rudy Alfonso Gomez Rivas (Gwatemala). Nauczyciel, pisarz, redaktor, menedżer kultury. Laureat wielu nagród krajowych i międzynarodowych, w tym Nagrody Literackiej im. Klemensa Janickiego IANICIUS, Polska 2022, Nagrody Literackiej WŁADYSŁAW, Polska 2023. Opublikował 10 książek poetyckich. Jest dyrektorem magazynu literackiego Voces Convergentes, wydawnictwa Cafeina Editores oraz założycielem i organizatorem Międzynarodowego Festiwalu Poezji FIPA w Aguacatán.



Jerzy Beniamin Zimny

Złota papierośnica

Próbowałem naśladować moich kolegów po piórze: Mariusza, Witka i Jurka. Nazwisk nie wymieniam, bo zasłużyli na dyskrecję, jeszcze żyją i są dobrymi mężami, ojcami i kochankami. Na przykład miłość, wystana na mostku w Zdroju, w lutym podczas mroźnej niedzieli. W tym samym miejscu, gdzie przystojny młodzian dokładnie ogolony i wypiękniony, codziennie wystawał mając nadzieję, że spotka miłość swojego życia. Nie od takich zabiegów zależy powodzenie w poszukiwaniu drugiej połowy, czasem wystarcza kombinezon i buty gumowe. Stoi więc gość w miejscu, gdzie krążą same garnitury, stoi w ciuchach roboczych i łamie w ten sposób wszelkie zasady estetyki. Wzbudza jednak zainteresowanie płci pięknej. Bo za czym tutaj stoi, za pracą? Siada na ławce obok bladokórej damy, wyjmując drogie papierosy, otwiera książkę wydaną w Paryżu i czyta, co chwilę wzdychając. Dama zdumiona nie potrafi pojąć takiego kontrastu, nie widzi związku kombinezonu i gumowców z książką w obcym języku. Nie wytrzymuje, zaczepia faceta pytaniem o pogodę na jutro. Facet odrywa oczy od książki, lustruje damę od pasa do głowy, w żadnym wypadku nie spogląda na nogi, i odpowiada czystą francuszczyzną. Dama nie wytrzymuje i pyta: „co pan tutaj robi?” „Nic nie robię” – odpowiada bez zastanowienia. – „Czytam coś ambitnego dla relaksu po brudnej robocie, bo brudna robota wymaga odreagowania, bo brud można równoważyć pięknem, ale piękno też trzeba czymś równoważyć, aby nie popaść w narcyzm. Właśnie w tym momencie równoważę pani piękno swoim brzydkim wyglądem. Ale nie musi pani mieć podobnego zdania. Gdyby tak, to są dwa wyjścia: albo ja odejdę stąd, albo pani. Nikt na tym nie straci. Przynajmniej ja nie stracę, bo wiem, kim pani jest, lub może być, a pani ma o mnie jak najgorsze zdanie” – kończy swój wywód, zaciągając się głęboko dymem z papierosa.

Jak widzicie, Macieju, do miłości trzeba właściwie podchodzić. Opowiedziałem wam historyjkę wyssaną z palca, tak jak to zrobił Sted w „Całej jaskrawości”, z małą różnicą: mój bohater odziany w kombinezon z gumiakami na nogach prowokował piękno, a bohaterowie Steda prowokowali rzeczywistość. Nie mieli takiej świadomości jak mój bohater, bardziej przystosowany do czasu i miejsca, niezależnie od przypadku. Ty z pewnością masz własną teorię, mieszkając w akademiku, odbyłeś wiele praktyk i potrafisz ludzi prześwietlać na wylot. Mam pewność, że z tobą na ten temat można długo rozmawiać, do rana mamy dużo czasu.

- Masz bujną fantazję – Maciej poruszony moją opowieścią prowokuje mnie do kontynuacji scenki z udziałem damy i faceta w gumiakach, nie bierze pod uwagę tego, czy jest możliwa taka sytuacja w takim miejscu. Nie zdarzyło się to we wsi, w knajpie albo w parku, gdzie wałęsają się różne męty, gdzie pod każdym krzaczkiem leżą dowody ludzkich namiętności.

- Kontynuuj, lubię słuchać, jak opowiadasz zdarzenia, które mogą się wydarzyć. Jest to, jak sądzę, siłą twojej poezji.

- Czy siłą? Możliwe. Należ mi jeszcze do kielicha, a opowiem wam „jak to ze Inem było”. Pamiętasz to opowiadanie? Z podstawówki, czyjego pióra, nie pamiętam. Lnu w Zdroju nie uświadcysz, ale róże kwitną na każdym klombie. Podrywacze kuracjuszek nie muszą ich kupować w kwaciarni. Nocą szczyrykiem rychnują bukiety tak piękne, aż miło. Mój bohater bryczką do panny jechał z dworca kolejki wąskotorowej, taka sama kolej z lasu prowadziła, ze zrębu do rampy kolejowej w Kotli koło Głogowa. Znow wracam do Witka i jego kumpli. A powinienem kontynuować jazdę bryczką, do pewnej damy, od której dostałem kosza. Dzięki Bogu. Bo nie o takiej miłości dzisiaj mówimy. Przy kielichu z podwyższoną adrenaliną, wskutek tematów ciepłych jak ciało rozgrzane dłonią robotnika. Dłoń poety rozgrzewa ostygłe ciało, nieraz trupie. Zatrzymaj mnie, kolego, niech wracam do Zdroju, gdzie mój bohater zmienił wczoraj kombinezon i z bukietem róż chodzi na deptaku, głosząc mądrości spod kapelusza. Trzymaj mnie, kolego, za słowo, albowiem mam zamiar milczeć w interesie wszystkich kombinezonów. Kombinezony wszystkich krajów, łączcie się. I nie żałujcie róż, kiedy płoną kobiece serca.

Kurna, co ja wyrzucam z błotem. Wypiłem tyle, ile zawsze, zjadłem może mniej niż zawsze, bo się odchudzam. Chwieję się nie po wódce w Okopach Świętej Trójcy: mamy, ojca i mojej córeczki. Wszyscy oni zamieszkali w domu Pana, a ja tułam się po manowcach, pięknych manowcach poezji./.../

Jest noc, ale nie ma łóżka, nie ma pościeli. Bohater zasnął na stojąco, a bohaterka gdzieś w oddali zмага się z platoniczną miłością do niego. Chciałaby rzeczywistą, okrutnie krwistą, bez opamiętania. Ale bohater nie ma jeszcze imienia, jeszcze się nie pojawił w mieście. Na ulicy, w kawiarni, w cieniu wszelkich spraw do załatwienia. Tak mu dopomóż Bóg i magistrat miejski, gdzieś wysoko urzędujący na Srebrnej Górze. To już było w literaturze, w życiu na odrębnych prawach. Prawach literatury, pięknej i niekoniecznie pięknej, może być brzydka jak liść łopianu na łące matczynej, na polu Jana bez Ziemi.

Jan Palony, mój przyjaciel od łopaty i pióra, gdzieś w Polsce, może za zachodnią rubieżą kolekcjonuje damskie serca. Nie musi zabiegać o litość, skamleć o czuły dotyk. Wysoki jak sekwoja Jan Palony mógłby pomagać Witkowi czyścić staw parkowy w Zdroju. Mógłby na ławce wysiadywać wieczorami, towarzystwo we dwoje. Mógłby pisać lepsze wiersze od Witkowych, chociaż one cudowne i lekkie.

Wiersze Palonego nie są lekkie ani ciężkie. Traktują obuchem wybrańców losu, przedstawicieli awangardy politycznej. Jeśli taka jest, jeśli taka była i odeszła do historii. Do historii trafiły wybrki Palonego, w mieście, na trasach kolejowych, w miejscach zatrzymań. W tym względzie nie był gorszy od Bruna i Bursy. Na Wysogotowie znali go wszyscy. Słynał z głosu operowego i roweru, który nadawał się jedynie na złom. Palony jeździł i dzwonił po okolicy. Mogli podług niego nastawiać zegarki. I nastawiać pranie i wszystko inne. „Ma się na burzę” – mówiono – kiedy Janek nerwowo kręcił kółka swoim rowerem na placu przy szkole. A szkoła była trzyklasowa, jak na tamte czasy to i tak było dużo, więcej uwagi miejscowi przywiązywali

do szparagów. Od pewnego czasu znikają z pól tradycyjne zboża i coraz więcej na nich pojawia się warzyw. Poezja też się zmienia, jest jak kobieta rozwojowa, zmienia stroje i fryzurę, nadszytych za nią nie sposób. Wiersze moje – mówi Janek – buntują się przeciwko mnie, nawet w koszu szczerzą zęby i domagają się lepszego traktowania. Z Palonym można nie tylko wypić, można całą noc dyskutować o poznańskiej poezji. On zna towarzystwo lepiej niż ja, więc uzupełnia moją wiedzę na zasadzie poczty polowej. Polowej, bo w Wysogotowie są szczerze pola, wiatr hula i roznosi od chaty do chaty wieści zakazane, a o poetach wieści są najbardziej pikantne. Kto z kim, kto kogo zostawił, kto się prześpał, a kto nie ma szans na wydanie książki. Dyskryminacja facetów nagminna, kto zatem ma walczyć o męskie prawa? Kobiety? Zostawiam czytelnika z tym problemem, niezależnie od płci. Czasy się zmieniają? Czyżby? Czas jest zawsze taki sam, w taki sam sposób biegnie z nami, nigdy bez nas. Czas nas nie unika, czas nas nie wyróżnia, czas nie daje forów nikomu. Tylko my sami inaczej obchodzimy się z czasem. Zdaje się nam, że go czymś wypełniamy, pustką, pracą, zabawą. Niekiedy nie zauważamy czasu, wtedy dźwięk dzwonu, bicie zegara, gwizd lokomotywy uświadamiają nam bezgraniczne panowanie czasu. Którego jakby nie ma, albo był obok, nami nie zainteresowany. Czasem nam się nagle urywa, czas w czasie z czasem? Wtedy jest to niepowetowana strata. Bo inni podczas naszej nieobecności w czasie idą do przodu, płodzą potomka albo zmieniają bieg historii. Czas patrzy na nas okiem ekonoma, jeśli nic nie dostrzeże, potrafi przyspieszyć. Mówi się wtedy – stracić z oczu czas.

Fragmenty powieści „Róże z Montreux”, wyd. Jerzy B. Zimny, Poznań 2019.



Stanisław Szwarec

PROTOKÓŁ
kulturalny
Nr 92/2025

Mosty nad rzeką bez powrotu

Jest taka rzeka o nurcie przeważnie spokojnym, lecz tak szybkim, że najsilniejszy pływak, najsprawniejszy żeglarz nie da rady płynąć pod jego prąd. To przedziwna rzeka życia, której brzegi wyglądają zupełnie odmiennie. Na jednym z nich toczy się nasze bytowanie, drugim włada Hypnos ze swym bliźniakiem Tanatosem. To między nimi próbuje w swych wierszach stawiać mosty Tadeusz Zawadowski.

„Senne mosty” – nadanie książce poetyckiej tytułu jednego z wierszy, to istotny ślad dla czytelnika. Najwidoczniej właśnie ten utwór jest z jakiegoś powodu ważny dla autora. Oto we śnie zjawia się ojciec. Gdy odchodzi, nie da się za nim pobiec, bo jeszcze nie ma mostu nad rzeką. Sytuacja jest nader niejasna, bo *nocą przychodzą zmarli / a może to ja pojawiając się // w ich nowym życiu.*

Mosty we śnie, a może w przedsennych marzeniach, umożliwiają kontakt z drugim brzegiem, mostami są także wiersze w tej książce. To nie tylko mosty w zaświaty, to także mosty w przeszłość, namiastka niemożliwej podróży pod prąd, pełna spokojnego pogodzenia się z nieuniknionym. Trudno – *dorośłem. na fundamentach domu / bawię się inne dzieci. młodsze od moich wnuków.* Nie tak łatwo dziecku przedrzeć się ze snu przez most, gdy drogę zagradzają szlabany. *Strażnicy sprawdzali dokumenty a tymczasem dziecku włosy siwiały a oczy szarzały i zatracali / dawną zachłanność obrazów. w końcu przepuścili dziecko. zmęczone // i stare.*

Po przejściu przez most można ujrzeć matkę, która *na mnie już czeka z obiadem. na stole pachnie zupą szczawiową /.../ a ja jak zwykle się spóźniam. /.../ mały chłopiec nie potrafiący odnaleźć // drogi do domu.*

Po takim moście przychodzą umarli. Trzeba ich oswajać, bo się niecierpliwią, tłumaczyć im, że to tylko chwila w porównaniu / z wiecznością którą spędzimy razem. Nad ranem milkną i rozchodzą się /.../ przymierzam ich // pośmiertne maski.

Jak wiele może zdarzyć się po przejściu przez senny most. Można nawet cofnąć się poza własne życie. *Pomagam babci opiekować się moim przyszłym / ojcem z którym za chwilę popędzę konie / nad Horyń /.../ dokoła ciągle / bezpiecznie. babcia ścieli łóżko // na spokojny sen.*

A rzeka wciąż płynie. Raz daje się nad nią przejść po sennych mostach, innym razem *płynie przeze mnie niewidzialna /.../ codziennie bezskutecznie / próbuję odnaleźć jej brzegi i spinające je mosty /.../ rozpaczliwie / szukam łódki aby móc przedostać się na brzeg / którego nie ma. muszę więc odnaleźć drogę do ujścia // lub do źródła...*

Niezwykle jest bogactwo wyobraźni poety czerpiącego inspirację z symboliki rzeki, mostu, snu, śmierci. Niezwykle też pisze o jej sile Zawadowski w jednym z wierszy. Przyjacielowi *pokażę krzyż a na nim Chrystusa / którego tam nie było. patrzyłem / jak ukląkł i zaczął się modlić /.../ Bóg zamachał z sąsiedniego szczytu.* cd. str.12

Nie ma w tych wierszach – poważnych i refleksyjnych – poczucia rozpacz i beznadziei. Nawet gdy Zawadowski pisze – *czasem chciałbym już pozostać // wiecznie jeszcze nie starym* – jest w tym zwrocie łobuzerskie mrugnięcie okiem do czytelnika – „Tak, wiem, że nic nie trwa wiecznie, że jestem stary, a będę jeszcze starszy, ale póki co zdejmuję ze ścian / lustra żeby (ta starość oczywiście) nie mogła się w nich dwoić.

No właśnie – metaforyka Tadeusza Zawadowskiego, to coś co można długo smakować. Może nie powinno się wyjmować poszczególnych fraz z kontekstu, ale nie mogę się oprzeć zacytowania co smakowitszych.

Powtarzające się kilkakrotnie odwrócenie przyczyny i skutku.

coraz częściej jestem pisany swoimi wierszami.

*czas stoi w miejscu to tylko my oddaliśmy
się od niego*

Niezwykłe oryginalne obrazy.
*dzieciństwo / bawi się z moimi wnukami
w chowanego
zmarli – z poodpinanymi zmarszczkami i siwizną
skroni
moi znajomi zakładają skrzydła i odlatują
całe życie / spakowane do jednej drewnianej
walizki*

Prawda, że jest nad czym pięknie pomyśleć?

Żeby było jeszcze ciekawiej, jest w tych przygodach na sennych mostach miejsce na dwa piękne erotyki pisane, a właściwie „myślące się” tak, jak się myśli w przedsennych, coraz bardziej leniwych marzeniach.

Oto początek jednego z nich:
*w nocy obtulam się twoimi snami dokładnie
nie / aż po czubek nosa. rano szukam / w panice
śladów twojego zapachu na poduszce.*

Wszystko się kiedyś kończy, rzeka dopływa do ujścia, zamyka się szlaban za przechodzącym przez most. Nastąpi kiedyś „dzień po” – to ostatni wiersz w tej fascynującej książce. Trochę przypomina swoją wymową „Piosenkę o końcu świata” Miłosza. Też nie dzieje się nic szczególnego, tylko *słońce wstanie / i młode koty będą się przeciągać w jego promieniach. do czasu / aż wylenięją a ich sierść spadnie na ziemię. / w końcu czas przestanie się toczyć po ubitym trakcie // zwanym życiem.*

Póki co rzeka jeszcze płynie, nurtuje tylko wieczna ciekawość drugiego świata, choć powiedziane jest: „Ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało.”, a poranne przebudzenie zawsze jest pełnie niedomówień. / *jak usta umarłych otwarte // ze zdumienia.*

Przemijanie, upływ czasu, śmierć. Tematy poważne. Z tym wiąże się filozofia. Pewnie Zawadowskiemu najbliższej do Marka Aureliusza z jego stoicką maksymą: „O ile przykrzejsze skutki wywołuje gniew i żal z powodu zdarzeń, niż te same zdarzenia, z powodu których gniewamy się i żalimy”. Ale czy to ważne? Każdy z nas uprawia na własny rachunek jakąś filozofię, nawet nie wiedząc o tym. Podobnie jak molierowski pan Jourdain, który nie wiedział, że mówi prozą. Dopiero znawcy filozofii mogliby powiedzieć, ile w mozaice naszych

poglądów jest stoika, egzystencjalista, sceptyka, epikurejczyka czy kogo tam jeszcze.

A Zawadowski? Najważniejsze, że nas porusza – i to bardzo. Daje do myślenia o sprawach ostatecznych, a myślenie to będzie takie różne, tak bardzo zależne od naszych życiowych doświadczeń. Tak bardzo będzie prowokowało do rozmów i wymiany myśli. I do tej najtrudniejszej rozmowy z sobą samym, bo – jak pisze poeta – *do rozmowy ze sobą trzeba się długo przygotowywać. dokładnie / poznać rozmówcę /.../ bo rozmówca jak pies wyczuje twoje kroki / i może się zamknąć jak ślimak w skorupie // i nie pomoże wtedy odwoływanie się do dawnej przyjaźni.* Nie przypadkiem na frontonie świątyni Apollina w Delfach widniał napis – „gnothi seauton” – poznaj samego siebie.

Czytelnikom tej poezji wypada zatem żyć długich, głębokich, owocnych rozmów. Także tych w samotności z głową przytuloną do poduszki, zanim sen...

Tadeusz Zawadowski: „Senne mosty”, Biblioteka FONT, Poznań 2025.

Arkadiusz Aulich

Nie pamiętam tytułu

Usunąłem własny wiersz z pamięci
czytelników
ale on nadal żyje
w umyśle pewnej kobiety

Założyła w nim rodzinę
Ma dwójkę dzieci
dom auto i kota
który bawi się literami po rozbieganych
zdaniach

A potem najeżony obchodzi wersy
po nitce do źródła

Aleksandra Pawlisz

Modlitwa zagrożonej

Panie mój
jak to jest że coraz częściej
krzyczymy głuchnąc
dłoń zaciskamy w pięść
wzrok uzbrojony w szkła
widzi coraz więcej
rozum doświadczony życiem
nie godzi się na tyle zła
Panie mój
zrób coś póki czas
abym miała Ci za co dziękować

Sztuka pisania z Północy

Dobrze że dzisiaj za pośrednictwem Internetu można wiele rzeczy sprawdzić - np. to, że norweski noblista sprzed roku Jon Fosse był publikowany w Polsce zanim dostał wspomnianą nagrodę, gdyż wcześniej nie spotkałem się z jego nazwiskiem i myślałem jakiś czas, że polscy wydawcy i redaktorzy czasopism spartolili sprawę. W drugiej, znanej mi części jego dzieła „Septologia” pt. „Ja to ktoś inny” ciekawiło to, że jeśli chodziło o opisywane zdarzenia rzeczywiste niewiele się działo – gdzieś na prowincji w regionie Vestland, główny bohater Asle malował obrazy, rozmawiał z sąsiadem, jechał samochodem zaśnieszoną szosą do galerii w Bergen, odwiedził w szpitalu innego malarza, a we wspomnieniach o wiele więcej. Asle wspominał m.in. swoją pierwszą wystawę w Domu Kultury, podczas której do kilku obrazów przypiął kartki z informacją, że obraz został sprzedany, aby sprytnie po skandynawsku wzbudzić szacunek oglądających obrazy, ale także to, że dostał się do Akademii plastycznej nie kończąc liceum i nie zdając egzaminów wstępnych, gdyż wykładowcy tej uczelni zaważali w jego obrazach oznaki wielkiego talentu. We wspomnieniach Aslego także pojawiało się epizod w zespole rockowym zakończony kłótnią, gdyż członkowie kapeli nie zgadzali się na to by zrezygnować z grania na rzecz malowania.

Malarz w latach młodości porzucił malowanie wiejskich domów i krajobrazów na rzecz pełnego symboli malarstwa awangardowego, czego jego matka nie mogła przyjąć ze zrozumieniem, a także nabywcy jego wcześniejszych obrazów oraz pracownik Domu Kultury. Asle jednak nikomu nie tłumaczył się ze swojej decyzji, ani z nikim się nie kłócił o swoje racje, co było urzekające, ale także nieznane z poezji i prozy środowiskowej w Polsce pełnej tarć. Nieporozumienie kiedy namalował koleźce obraz na zamówienie, który nie został dobrze przyjęty, gdyż był czarno-biały nie skończyło się kłótnią, czy bójką, ale humorystyczną rozmową przy piwie, kiedy jeden i drugi przyznawali się sobie do tego, że działali przez grzeczność wobec siebie. Utalentowany artysta po Akademii nie potrzebował poklasku i ciągłego utwierdzania siebie przez recenzje w przekonaniu, że miał talent. We wspomnieniach Aslego pojawiał się także wątek wystąpienia z norweskiego Kościoła, ale także powrót do niego z uwagi na brak koncentracji po nadmiernym spożywaniu alkoholu. To odejście od religii i powrót do niej bardziej przypominało zapisanie się i wypisanie z biblioteki osiedlowej w Polsce niż wysoce skomplikowane akty apostazji.

Na pewno proza Fossego mogła w Polsce wywoływać zdziwienie, jak niegdyś Nobel dla wspaniałego humorysty włoskiego Daria Fo, gdyż kojarzyła się z literaturą mniej głośną, bardziej outsiderską, a nie wspieraną przez duże wydawnictwa. Poza awangardowym zapisem, podobnymi imionami kilku bohaterów nie było w niej pustego eksperymentowania. Zdumiewał fakt, że nagrodzono powieść pisaną zrozumiałym stylem, ale bazującym na tym kto co powiedział i zrobił.

Jon Fosse: „Ja to ktoś inny”, Warszawa 2024.

Krzysztof Gołębiowski

A drzewa jak zwykle szumią

Ciocia Jadzia chciała
do raju z różańcem
jedyną przepustką jaka
była na internecie

Inżynier po wypadku
za diabła nie chciał
księdza bo jeszcze
miał czas

Tobie w ciepłej
wannie nie chciało się
nic innego tylko
pływać w czerwieni

Nazajutrz drzewa
szumiały po swojemu
jak zwykle pociągi
się spóźniały

Skancerowani

Jesteśmy za drodzy
aby się wycenić

Jesteśmy za szczerzy
aby się zrozumieć

Jesteśmy za ogromni
aby się odnaleźć

Jesteśmy za dumni
aby podać sobie ręce

Jesteśmy za blisko
aby się zobaczyć

Jesteśmy razem
by żyć osobno

Maria Ciążela

nieobecny

obecny nigdzie
czy gdzie indziej
duchem tylko
czy też ciałem

nieobecny
obecny

We wspomnieniach
tkanych jak pajęcza nić
między półkami pełnymi książek
i pustymi wieszakami
w myślach nigdy nie na głos

jesteś

aż
jesienny wiatr rozwieje pajęczyny
a myśli wyśpiewa świerszcz

Andrzej Haegenbarth

Głos daimoniona

Agacie Kaczuk-Jagielnik

Lubię patrzeć kiedy w jasne letnie przedpołudnie spod nieodkrytych żaluzji ciekawski promień słońca przenika do ciemnego pokoju i po ścianie wyraźnie zmierza w stronę krajobrazu Agathe.

Kiedy zabłyśnie złotem na ramie wiem, że za chwilę pojawi się na szarym niebie obrazu i będzie udawał, że nie jest wysłannikiem realnego świata, ale że pada z namalowanego nieba i dodaje blasku wizji artystki.

Wtedy rozlega się strofujący głos. To nie przemówiło Niebo, ale mój daimonion:

Chłopie otrząśnij się! Oderwij się od tych intencjonalnych światów i wyjdź na zewnątrz. Jesteś przecież arystotelikiem i perypatetykiem.

Przejdź się i przypomnij sobie, co pisał twój ulubiony Hermann Hesse.

Nie powinienesz za długo tkwić w *vita contemplativa*, ale płynnie przechodzić do *vita activa* i w każdym z tych światów czuć się dobrze.

Romana Cegielna-Szczuraszek

* * *

kolejne bary
idziemy tam
tam zamykają
kolejne puby
gonimy tam
tam już myją podłogi

a my jeszcze nie gotowi
na dom na przyszłość
na wspólną kawę
po wspólnym łóżku
na wspólne śmieci
o które kłótnia
na którą nie jesteśmy gotowi

chcieliśmy tańczyć
tylko żadne nie chciało się uczyć kroków
może nie było odpowiedniej muzyki
może na nogach nieodpowiednie buty

i puby nam zamknęły
przecież
i bary i mokre podłogi na nich

a w domu
ani domu
ani mokrych podłóg
ani nas
dla nas tylko dla siebie
sobie możemy nie być obcy

ciężko się tańczy samemu
nikt nie utyskuje na niezgrabność
wybaczać nie trzeba podpowiadać
nikomu nikogo i tych śmieci

nie ma



Krystyna Drewnicka

Nowa ziemia

nie była obiecana
jest wypożyczona na chwilę?
dana na zawsze?

otworzyła się na mnie obcą
rozwarła ramiona
przygarnęła jak matka zastępcza

jestem wdzięczna
próbuję polubić
walczę ze słabością

tamta rodzona
nadal czeka
woła nocami
czuję jej zapach
pamiętam

właśnie kwitną niezapominajki
ale wcale ich nie potrzebuję

Beata Kołodziejczyk

Środy Popielcowe. Po. Wtórni

Mżenie. Zostajesz poranną rosą na moim
czole. Mokre policzki,
stronice. Wciąż przykurzone pergaminy. Już
nawet nie czytam
nas między wierszami. Czasem jeszcze
mówisz – potrzebuję

chwili spokoju. Spoglądam pod nogi. Może
nie są mi potrzebne,
skoro mam być opadem nie sięgającym
ziemi. *Łaska rosi tutaj*
obficie, a tam mniej obficie. Zacięci.
Tak łatwo przelewasz

mi się przez ręce. Skręcone włosy,
nadgarstki. Zapisani notarialnie
i palcem na wodzie, wytykamy na nowo
dawne błędy. Pamiętam,
jak tamtego lata bryzgały kałuże. Dzisiaj już
tylko skaczemy

sobie do gardeł.

Celina Lesiewicz

Opis

Cierpienie otwiera oczy
Żeby wpadło w nie światło
Rozsznurowuje usta
By wyszły z nich słowa
Miażdży serce aby
Wskrzesić je na nowo
Dotyka jak nikt nigdy
Przychodzi wywołując
Poprzednie życie
Ustanawia ścieżki poznania
Jest ostatecznością pojedynku
Z czasem wygrywa
Na każdym etapie
W odmiennej masce
Jedyne wszechstronne
Ostateczne

Artur Dekiert

Debiut

Zbawienność nocy

Dobrze że jest noc
na wszystkie pytania bez odpowiedzi

Na odpowiedzi językiem snu
wypalone słońcem poranka

Jak bibuła szpiega
co spłonie po przeczytaniu

Budzisz się starymi znakami zapytania
kreślonymi błądząco tatuaży zdarzeń

Nie masz na nie odpowiednich słów
Czujesz się syty mową nocy

Grzegorz Pełczyński

Kino Starszych Panów

Zmiany polityczne, jakie nastąpiły w Polsce w połowie lat pięćdziesiątych XX w., odmieniły wszystkie dziedziny sztuki. Plastyków, muzyków, pisarzy czy filmowców przestał obowiązywać realizm socjalistyczny. Odtąd mogli tworzyć swobodnie, co nie znaczy, że w warunkach całkowitej wolności.

Spośród ówczesnych zjawisk artystycznych na uwagę zasługuje z pewnością Kino Starszych Panów. Oczywiście Jeremi Przybora i Jerzy Wasowski to twórcy telewizyjnego kabaretu, a nie filmów, poza *Upalem* (1964), nakręconym zresztą przez Kazimierza Kutza. Jednakże w czasach, gdy na szklanym ekranie pojawiał się Kabaret Starszych Panów, a więc w latach 1958-1966, robiono filmy, których reżyserzy zdają się mniej czy bardziej podążać śladem pana Przybory i pana Wasowskiego. Oprócz *Upału* są to: *Kapelusz pana Anatola* (1957), *Pan Anatol szuka miliona* (1958) i *Inspekcja pana Anatola* (1959) – wszystkie zrealizowane przez Jana Rybkowskiego, poza tym *Tysiąc talarów* (1960) Stanisława Wohla, *Szatan z siódmej klasy* (1960) Marii Kaniewskiej, *Walec pikowy* (1960) Tadeusza Chmielewskiego, *Lekarstwo na miłość* (1965) Jana Batorego. Nie można pominąć tu też dwóch seriali telewizyjnych: *Klub Profesora Tutki* (1966-1968) Andrzeja Kondratiuka i *Niewiarygodne przygody Marka Piegusa* (1967) Mieczysława Wańkowskiego.

We wszystkich tych filmach, podobnie jak w Kabarecie Starszych Panów, świat przedstawiony w niewielkim stopniu przypomina ten realny. W *Walecie pikowym* i *Upale* na ekranie ukazano w ogóle nieistniejące kraje. W pozostałych jest niby współczesna Polska, ale trudno się w niej dopatrzeć państwa rządzonego przez Gomułkę oraz „naszej małej stabilizacji”.

Świat w tych filmach nie umie czy wręcz nie chce być nowoczesny, niezmiennie zaś ceni sobie to, co minione. Dlatego pan Anatol (Tadeusz Fijewski), nie najmłodszy urzędnik bankowy z filmów Rybkowskiego chadza w staromodnym kapeluszu firmy Borsalino, w którym wygląda równie archaicznie jak Starsi Panowie w cylindrach. To samo można rzec o profesorze Tutce, nakrywającym głowę melonikiem. Prócz nich wymienić trzeba kilku innych, wyraźnie ewokujących dawne czasy: notariusza Regułę (Czesław Roszkowski) z *Tysiąca talarów*, latarnika i detektywa Kawaniasa (Czesław Roszkowski) z *Walecia pikowego*, profesora Gąsowskiego (Stanisław Miński) z *Szatana z siódmej klasy* bądź detektywa Hippolita Kwassa (Zygmunt Zintel) z *Niewiarygodnych przygód Marka Piegusa*. Wszyscy ci gentlemani wnoszą z sobą urok staroświeckiej elegancji, trochę naiwności, ale bardzo dużo optymizmu.

Najważniejsi jednak są w tych filmach młodzi, uwikłani w rozliczne awantury. Znajdują się wśród nich zakochane pary, które kreują najpopularniejsi amanci, na co przykładem jest Kalina Jędrusik i Andrzej Łapicki z *Lekarstwa na miłość*. Nie braknie też dzielnych harcerzy, przede wszyst-

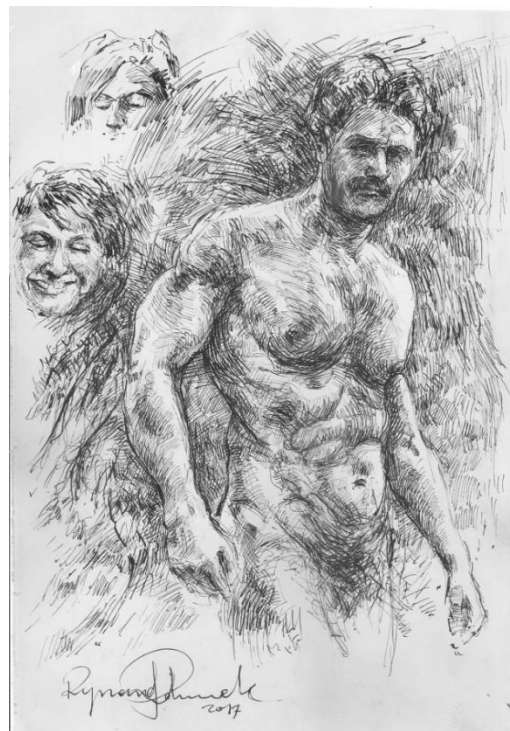
kim wymienić należy Piegusa (Grzegorz Roman) i jego kolegów, którzy rozprawiają się z groźną bandą.

Bandyci pojawiają się bodaj w każdym z omawianych filmów. Często gra ich Mieczysław Czechowicz wsławiony (wraz z Wiesławem Michnikowskim) piosenką *Tanie dranie* z Kabaretu Starszych Panów. W każdym razie żaden z nich, mimo pozorów okrucieństwa, nie jest groźny, a nade wszystko śmieszny i sympatyczny.

Niejeden z bohaterów to artysta. Wykonywana profesja w jakimś sensie usprawiedliwia skłonność do szaleństw. Przykładem służy choćby pan Surma (Ludwik Benoit), przyjaciel Piegusa, nocami grający na saksofonie w Kabarecie Arizona. Nie dziwi, że bez zastanowienia rzuca się w wir sensacyjnych wydarzeń.

Interpretując obecnie owe Kino Starszych Panów, jak też sam Kabaret, wskazać trzeba na czasy, w których żyli ich twórcy, a więc na wojnę, na stalinizm. Nie można nie uwzględnić również wspomnianych przemian w połowie lat pięćdziesiątych, z którymi wiązano tak wiele nadziei, niestety na ogół nieziszczonych. Łatwo zatem zrozumieć, że w końcu powstało zapotrzebowanie na świat piękny i miły, pozbawiony wad tego istniejącego w rzeczywistości, chociaż tylko wyimaginowanego przez artystów. Pełno w nim rekwizytów pochodzących ze świata przedwojennego, który bynajmniej nienaganny nie był, o czym jednak coraz częściej zapominano, choćby dlatego, że poznano o wiele gorsze.

A ponadto w tychże filmach udało się zawrzeć немало mądrości. Jej klasyczne ujęcie znane jest z Kabaretu Przybory i Wasowskiego. Lecz także w omawianych filmach jest pochwała uprzejmości, wyrozumiałości, uczciwości, odwagi, inteligencji, wierności, humoru. Dzięki temu swoje walory zachowują one do dziś.



Alicja M. Kubiak

Kobieta z piasku

Mistrzostwo świata! - Patryk patrzył w stronę rozmawiających kobiet. Na pewno usłyszała, chociaż wydawało się, że była zajęta rozmową z koleżanką. Nie spojrzała na mężczyznę. Również nie interesowało jej, co mówiła dziewczyna. Udawała, że słucha. Wszyscy byli nieważni, wszyscy mogli zniknąć, w tej chwili i na zawsze. Marzyła o samotności i ciszy. Nie chciała już wysłuchiwać problemów innych ludzi. „W dupie to mam!” - obserwowała ruchy warg koleżanki. Słowa nie miały żadnego znaczenia. Dzisiaj są wykrzykiwane, jutro bezpańsko błakają się na ustach tłumu, ale nikt nie rozumie ich rangi, więc znikają wraz z przemijającym gniewem, niczym ostatni „pyk” dogasającej świeczki. Uciekłaby stąd jak najdalej, by nie słyszeć już piekielnego jazgotu.

Wybiegła z kręgielni. Na zewnątrz była mroźna noc. Śnieg zalegał miejscami, których w dzień nie ogrzewało słońce. Miasteczko spało, a sny jego mieszkańców ulatywały przez ciepłe kominy. Puste ulice, ciemne okna, stare kamienice z mrocznymi zaułkami i stęchłymi piwnicami, niosły szept spełnionej obietnicy. Jeszcze tylko kilka kroków, by zanurzyć się w pełnej ciemności, poczuć jej lepkie macki i dać ponieść się urokowi nocy.

Aniela! Anieeela! Dokąd znów idziesz? Jeszcze nie skończyłam. A Czarek, to taki misio był. Po rozwodzie. Zakochał się we mnie od razu i pojechaliśmy w wakacje nad morze. Potem pomieszkałam z nim trochę. Kiedyś poszedł rano po bułki i jak wrócił powiedział mi, że zakochał się w jakiejś blondi z piekarni. Stał taki bezradny w drzwiach sypialni z tymi bułkami w reklamówce i miał minę skopanego kundla, więc spakowałam się i wróciłam do siebie. A ciebie gdzie znów diabli niosą?

Miałam coś do zrobienia. Muszę lecieć. Innym razem, Gośka.

A z tobą to tak zawsze! Urywasz się w połowie zdania i znikasz jak ta kobieta z piasku. Wiatr zawieje, kupa piachu wznosi się i frrruu... Zniknęła mi z oczu. Żebyś ty chociaż faceta do łóżka miała, to zrozumiałe, a tak? Do inteligenta lecis?

Gośka miała gadane. Wszystko potrafiła skomentować, czasami trafiała w sedno, ale nie tej nocy.

- Wracaj do klubu. Twój kotek czeka, nie zaniedbuj go.

- Fuknęła, prychnęła, nogą tupnęła i coś jeszcze marudziła, ale Anieli nic już nie zatrzymywało, odchodziła bez oglądania się za siebie.

Mrok pochłonął oddalającą się sylwetkę kobiety, jakby chciał ją okryć płaszczem nocy i ochronić przed hałasem, który dochodził z kręgielni. Po przejściu kilku kroków w głąb ulicy, nierówny bruk zdawał się rozpyływać i łączyć w gładką nawierzchnię asfaltu. Jeszcze kilka kroków i nieprzeniknione dla oka ciemności, ukryły wszelkie kontury otoczenia. Zatrzymała się niepewnie, jakby chciała zawrócić. Spojrzała za siebie, ale kręgielni już nie było, tylko brukiem wyłożona ulica. Zanim zdecydowała się na kolejny krok, dostrzegła w oddali niewielki blask. Po chwili rozbłyśły wszystkie latarnie. Mrok ustąpił, zapadł się w zakamarki podwór-

kowych kamienic, gdzie ukrył się tajemniczy latarnik w metaliku, z metalowym drągami w rękę.

PROTOKÓŁ
kulturalny

Nr 92/2025

Ulica zaludniła się postaciami. Ich stroje zdradzały różne epoki historyczne i stany społeczne, z których się wywodziły. Z początku były cieniami, potem zmaterializowały się, tworząc jednocześnie gwar na ulicy. Rozmowy, śmiechy, postukiwania damskich obcasów, stukot męskich lasek i szelest bosych stóp. Wszyscy zmierzali w jednym kierunku, gdzie mieścił się plac z rzędem dorożek. Do każdej zaprzężono po cztery, jak noc czarne konie. Dorożkarze w wysokich cylindrach i szerokich płaszczach, siedzieli na kozłach, dzierżąc w dłoniach baty ze skręconych rzemieni, zakończonych czerwonymi pomponami. Postaci znikwały za drzwiami dorożek. Konie ruszały, unosząc pojazdy w nieznanym nikomu kierunku. Znikały na końcu brukiem wyłożonej ulicy, która zmieniała się w drogę asfaltową, w miejscu, gdzie nie dochodził blask latarni.



Aniela wsiadła do jednej z dorożek. W pojeździe siedziało trzech pasażerów, czekali na nią, by ruszyć w podróż. Jechali w nieznanym kierunku. Ciemności nie sposób było przeniknąć wzrokiem. Słabe światło latarni dorożki, nie rozpraszało mroku. Po upływie paru chwil, Aniela poczuła, że pojazd zwolnił. Wtem, dorożka zatrzymała się. Kobieta ostrożnie wyszła na zewnątrz. Nie było woźnicy, brakowało koni i dorożka gdzieś zniknęła. Wokół był tylko las i noc przecięta ostrzem blasku księżyca, na którego końcu znajdował się nadziany grobowiec z rozpadliną u boku, jakby wejściem do podziemnego świata. Na płycie stały zapalone znicze i świeże kwiaty w marmurowym wazonie. →

Aniela schyliła się i zają-
rzała w głąb. Księżyc nie docie-
rał pod ziemię, więc chwyciła
znicz i oświetliła wnętrze grobowca. Krypta mieściła
kilką częściowo zniszczonych sarkofagów. Wieko
jednego z nich zaczęło się odsuwać, ukazując ko-
ściastą rękę z resztkami odpadającej skóry. Aniela
zsunęła się do krypty, uważając by nie ugasić
ognia. Koścista postać uniosła się i niezgrabnie
stała naprzeciw kobiety. Kłapała szczęką, nie
wydobywając z siebie żadnego dźwięku. Pojęła, że
nie będzie zrozumiana, więc zwiesiła bezradnie
czaszkę i kościste ręce. Aniela podeszła do kościo-
trupa i czekała na coś strasznego. Spodziewała się,
że zostanie napadnięta, uduszona, zadżgana lub
ogłuszona kością. Nic takiego się nie wydarzyło.
Postać spoglądała na kobietę swoimi pustymi oczo-
dołami, wyrażającymi ogromny smutek. Aniela
pożalowała kościstej postaci, podeszła do niej i
objęła ramieniem, poklepała po wystającej łopatkce.
Wtedy postać runęła, zamieniając się w kupkę
pokruszonych kości. Kobieta wstrząsnęła dreszcz
strachu. Pozostałe w krypcie sarkofagi otwierały się
ukazując ich mieszkańców. Wyglądały złowieszczo i
przeraźliwie. Aniela wspomniała słowa Gośki o
kobiecie z piasku i zapagnęła posiadania tej mocy.
Zamknęła oczy i zaciśnęła pięści oczekując
niemożliwego – cudu.

No tak! Ja się tu wysilam, gardło zdzieram
do czerwoności, a ty mi tu śpisz z otwartymi oczą-
mi. Udawałaś, że słuchasz? Od którego momentu?
Muszę ci jeszcze raz powtórzyć, bo to bardzo dla
mnie istotne, i musisz mi doradzić, co ja mam z
tym całym miśkiem począć? A jak znów mi się
zakocha w jakimś mięsnym? Do supermarketu na
pewno samego go nie puszczę, bo tam jak się
zakocha, to w kilku naraz! To jak myślisz, Aniela?

Czekaj, Gośka. Jak to było z tą kobietą
z piasku? Powiesz mi jeszcze raz?

No jak, jak? Kupa piachu wiruje, jakby trąba
powietrzna, kształtem przypomina kobietę, albo
klepsydre, a potem znika mi z oczu. No to co ja
mam zrobić z tym Czarkiem?

Stanisław Bateńczuk

Obraz

debiut

Powolne pociągnięcie pędzlem
ujawniają przykry obraz.
Martwa natura?

Martwy człowiek, martwy świat.
Zużyte płótno stoi puste,
bez namysłu i nadziei.
Jesteśmy jedynie farbami,
kolorem bez artysty.

Małgorzata Łyssowska-Szczęsna

Gdyby...

uciekać mi przyszło
wzięłabym krowę darowaną przez Ann
dziewczęco-różową bombkę
Byłam krową... przeżuwająca
na każde wezwanie pełna mleka

Stanisław Chyczyński

cd-niebycia

Puste lata na czekaniu zbiegną.

Cz. Miłosz

Adler twierdził: życie to rozwój,
Ergo zmarłem parę lat temu.
Koniom lepiej, gdy baba z wozu,
A jak furman – pójda na przebój?

Byłem koniem, ale garbatym.
Miałem bryczkę trochę na pokaz.
Za wierzganie zbierałem baty,
Za błazeński rechot ze Smoka.

Smocze jaja zachwala Salon,
To dlatego TAK się sprzedają.
Orzeł biały czeźnie w tej modzie.

A mnie nadal nie ma w rejestrach,
Nie zdobyłem niczego extra,
Nie zdołałem: siebie urodzić.



Zofia Grabowska-Andrijew

Współbrzmiący dwugłos

W poznańskim Wydawnictwie Literackim ATENA wyszedł tom poezji znanych mi osób, z nieznanym mi słowem w tytule, którego znaczenia zaledwie mogłam się domyślać, ale to nie wystarczy, by mieć pewność. Moje podejrzenie, że znaczy ono Laponia potwierdziła Maria Magdalena Poczaj, poznanianka i bamberka, współautorka tomu pod pełnym tytułem „SÄPMI. Wiersze z Północy”. Stanowi on - jak to określiła inicjatorka publikacji - „dwugłos poetycki”. I słusznie, bo na całość składają się jej wiersze i wiersze Andrzeja Szmała, poznaniaka od lat mieszkającego w Laponii.

Przyznam, że nie lubię, gdy poeci lekturę swych wierszy poprzedzają takimi informacjami jak: cytuję mały fragment - „Krótkie poetyckie notatki są próbą zobrazowania stanów emocjonalnych i duchowych, jakie towarzyszyły mi w zetknięciu z tamtejszą przyrodą, zwłaszcza...” Odbieram je jako brak zaufania zarówno do własnej poezji jak i indywidualnego jej odbioru przez poszczególnych czytelników. Tym razem autorom wybaczę. I wcale nie „po znajomości”, lecz dlatego, że geneza tych wierszy jest niecodzienna a przyroda w szwedzkiej Laponii unikalna i niedostępna czytelnikom, do których jest kierowana.

Na pewno dobrym rozwiązaniem jest przyjęta przez oboje autorów zasada podawania pod wierszem miejsca i daty jego powstania.

Już okładką, przedstawiającą las zatopiony w wodzie jakby „do góry nogami”, autor zdjęcia Andrzej Szmał doskonale sygnalizuje inność krajobrazu i oświetlenia. Bo to doświadczony fotografik i autor diaporam, poeta, który wreszcie zdecydował się na debiut książkowy. W przeciwieństwie do niego Maria Magdalena Poczaj to doświadczona autorka, mająca na swym koncie już 16 tomików oraz ciekawe i piękne odwrócenie tego, co zwykliśmy nazywać ilustracją. Będąc plastyczką, uprawiającą rysunek i fotografię, w 2003 roku zilustrowała słowem - oczywiście poetyckim - album zdjęć Antoniego Ruta przedstawiający „WIERZBY WIELKOPOLSKIE”. Efekt? - Doskonali. Partnerzy godni siebie i zachwyty odbiorców.

Obrazy wiersz w różnych porach dnia, roku przechodzą od fotograficznej realności ku metafizycznemu odrealnieniu. Oglądamy je poprzez rozmyty błękit zmierzchu, w blasku księżyca wśród niesamowitej czerni nocy, aż do zupełnego odrealnienia w płaskim lodowym reliefie wykutym „dłutem mrozu... w srebrze nocy” Wyobraźnia poetki współgra z wrażliwością fotografa. Twórcy odślaniają nie tylko urodę, także okaleczenie i przemijalność. Nie sposób zaprezentować pełną harmonię obrazu i słowa bez pokazania jednocześnie zdjęcia i poetyckiego komentarza, lecz spróbuję. Tło stanowi w dwóch trzecich błękitne niebo miejscami rozbielone. Jedną trzecią odciętą wąskim paskiem zieleni zajmuje pole pokryte śniegiem. Na pierwszym planie, sięgając konarami poza ramy zdjęcia, stoi goła potężna wierzba na pękniętym na dwie części pniu. Całość delikatnym różem podświetla ostatni promyk zachodzącego słońca. Pod zdjęciem poetycki komentarz: „Błękitna rapsodia nie ukoji bólu pękniętego żywota”. To on, ściślej słowo żywot, przenosi nas, właśnie przy pomocy przenośni

zwanej metaforą, a dokładniej jednego z jej rodzajów, tu personifikacji, w sferę uogólnienia - na człowieka, abyśmy dostrzegli, że jesteśmy częścią natury, a „włóczy się...wiatr”, „włosy” wiersz, „milczenie” kamienia czy „przedwieczne niebo” co „Do skarby ziemi /... / chowa miedziany pieniążek słońca.” to nasi partnerzy. Od takich wierszy chce się „...z wierzba pogadać, / dać się jej bez reszty zauroczyć/”.

Album prezentuje pełną symbiozę obrazu i słowa, a autorzy współodczuwanie natury.

Po dwudziestu latach, w 2023 roku pojawia się ponownie dwugłos. Tym razem poetów zauroczonych szwedzką Laponią. Jednak chociaż autorów łączy opisywany obiekt i tworzywo jakim się posłużyli, nie jest to dwugłos współbrzmiący. Znajdujemy tu dwa spojrzenia na ten sam krajobraz, dwie narracje, będące wynikiem różnego stopnia oswojenia z nim a także celu i czasu przebywania w nim oraz czasu, w którym powstawały.

Dla Andrzeja Szmała Laponia to jego miejsce na Ziemi. Nie z urodzenia, z wyboru. Urodzony w Poznaniu wybrał daleką północ, bo tam w Laponii znalazł pozostałości „twojego dzieciństwa / nietknięte lasy bagna rzeki jeziora”. W innym wierszu pisze: „Tęsknię za tobą / Polsko której już nie ma” i dalej: „za wami drzewa strzeliste / z koronami w niebie / pniami jak kolumny świątyni / rozśpiewanej ptakami / rozjaśnionej promieniami Słońca / przepuszczonymi przez liściaste witraże” Krajobraz Laponii to jego codzienność.

Dla Magdaleny Poczaj te sześć pobytów to „Chwile w Muddus” [nie tylko - Z.G-A] Wielogłosem przyrody / scalone w jedno / stają się oddechem Boga / wypatrującego łosi / nad brzegami rozlewisk // dzielone na pół / potwierdzają naszą obecność / w tym niekończącym się poemacie / na wodę zieleń i wiatr” To także niezwykła przygoda i zauroczenie innością krajobrazu. Bo gdzie u nas zobaczy „Domek traw” co „Zarośnięty / jak niestrzyżona broda / łąpie na świat / niebieską szybką” albo Słońce jako „Dwie rozżarzone kule / podzielone linią wody” albo „Łuk zorzy polarnej...” czy stado renów? Tych albo można by w nieskończoność...

W stosunku do lapońskiego krajobrazu widoczne są wpływy dwóch różnych profesji autorów. Dla poetki, z wykształcenia plastyczki, ważny jest koloryt, ulotność, piękno i niezwykłość. Pisz „...tutaj myśli się kolorami / a to co nazwane / opatrzone jest czułym / wypowiedzeniem”. To co autorka nazwała wypowiedzeniem, to pointa. Większość jej wierszy kończy się pointą, nawet tak krótki : ***Wiosła odłożone / canoe chwieje się leciutko / na migotliwej powierzchni / pod wrzosiem nieba /// niesie nas cisza /// nie pamiętam czy kiedykolwiek / było mi w życiu / pięknie”. Incypit w wierszu „Woda unosi ciężar krajobrazu” stanowi klamrę z pierwszym wersem ostatniej całości „woda unosi ciężar minionego życia”, będącym przeciętą pointą całości. To pointy właśnie odślaniają emocje lub refleksje autorki. Znajdziemy tu również sporo wierszy będących obrazkami namalowanymi słowami. Oto przykład:*** Wody zwierciadlane / wody drzewne / oblewają niebo / po którym płyniemy / a canoe jak życie / chybotliwe / sunie wśród chmur / ponad lasami / rosnącymi w głąb”. Tu rolę refleksji przejęło porównanie. Znajdziemy też spersonifikowany krajobraz: „cisza otwiera powieki krajobrazu”, „stara chata kurczowo trzyma się / pomostu i popatruje przez szparki / w oknach zabitych deskami” Stosunek poetki do

krajobrazu pełen jest nie tylko zachwyty, nawet nad porostami: „i jak przewlec / przez lilipucie / zachwyty rwącą się nic”, także czułości, która każe jej przemycić „w rulonie swetra /// metamorficzne pamiątki / kształtem dopasowane / do wnętrza dłoni /// pustki czułe wypełnienia” - także uważności i szacunku. Powiedziała to czytelnikom już w poinczie pierwszego wiersza „staram się niczego nie potrącić”.

Andrzej Szmalec, absolwent biologii środowiska, patrzy na krajobraz okiem dostrzegającym jego wynaturzenie w wyniku działań człowieka. Pisze: „jestem znowu / w krajobrazie bieli i szarości... dziś jestem szczęśliwy / nie muszę zamykać oczu / przed brzydotą świata. A. Szmalec także prezentuje bardzo osobisty stosunek do krajobrazu, lecz wyrasta on bezpośrednio z jego wiedzy i profesji znajdujących się w konflikcie z niszczącymi skutkami cywilizacji. To one są źródłem jego niepokojów i buntu.

Tworzyłem dla M. M. Pocgaj od zawsze jest metafora w jej wszystkich odmianach. Tego bogactwa nie uświadczymy u poety, co nie znaczy, że ich tu nie ma. Są, tylko jakby wyjęte z innej bańki. Obok pięknej personifikacji jeziora, które „nie musi się wstydić” czy będącego w całości metaforą [dokładniej animizacją] wspaniałego wiersza o incipicie „***Wiersze są we mnie”, będącego opisem procesu twórczego, czy wiersza „***Opowiem ci to zdjęcie, w którym poza słowną fotografią zimowego wieczoru zastosował suspens - pojawiają się środki stylistyczne ze starego i nowego arsenału wojennego. Od starych sosen na Nulpokarko, co pokonane „stoja uparcie na pozycjach / jak rycerze do końca wierni sprawie”, „srebrny pancerz” „dni... chwały” łuk zorzy polarnej „jak miecz ognisty”. Pojawiają się kojarzące się z łobuzerskimi zabawami: „wiatr ...ciska lodowe kryształki w białe oko Słońca” i wersy kierujące nas na pola działań wojennych: „Zimowa ofensywa rozwija się pomyślnie” „daleko za linią frontu”, „zwycięstwo wiosny”.

W związku z dezaprobatą dla działalności człowieka dewastującego przyrodę i współczuciem dla zwierząt pojawiają się słowa nacechowane cierpieniem: „strach wpędza was do zagród - kacetów / stłoczone czekacie na wyrok / śmierć lub zsyłka” pojawia się niemieckie słowo z czasu wojny oznaczające wypędzenie, zapisane w brzmieniu budzącym najgorsze wspomnienia wyrzucanych z własnych domów - „rrraus!”. Poeta sięgnął też po słownictwo wulgarne, będące znakiem naszej językowej degrengolady. W wierszu o incipicie: „Księżyc deptały nasze stopy” autor bardzo dosadnie i bezpruderyjnie określił stosunek planet i gwiazd do Ziemi niszczących naturę. Nie widzę w tekście uzasadnienia dla ich użycia w celu określa stosunku gwiazd i planet do Ziemi. Myślę, że nie mamy podstaw przypuszczać, że ten sposób myślenia i słownictwo już tam zawędrowały, choć mamy prawo sądzić, że kosmonauci z Ziemi je tam zawłoką.

Maria M. Pocgaj

Nie widać już świata
nogi przyrosły do nart
plecy do wiatru
i nagle w środku zadymki
gdy pod samotną sosną
rozcieram zgrabiąte dłonie
a mróz zdejmuję ze mnie
ostatnią warstwę ciepła
dopada mnie
dzika radość istnienia
dzielona z tobą
którego sylwetkę
ledwo odgaduję
w białej kurzawie
(Powrót do Porjus z chaty
Arvidssona.30.01.2020)

Andrzej Szmalec

Opowiem ci to zdjęcie
krępa sosna w białej czapie
na chropawej śnieżnej płaszczyźnie
w leju wywianym przez zamieć
tam dalej inne sosny
hen hen aż po horyzont
nad nimi zielonożółta zorza wieczorna
kilka cieplejszych chmur
dość gruby sierp Księżyc
zimny błękit powyżej
czeka na gwiazdy

Chciałabys je zobaczyć
moje zdjęcie
ono jest tylko moje
w sercu nie na przeźroczu
(Muddus, 01.1994)



Jan Hyjek

Niematematyczny rachunek nieprawdopodobieństwa

Tomik Anny Landzwójcak *„Bez nawigacji”* otwiera wiersz *„Imię”* – tajemniczo prezentujący swoje przepoczwarczenie się autorki. Najpierw bowiem *„ubrałam się w inną skórę / – kilkuletnia dziewczynka”*, a następnie by powrócić *„w to miejsce / gdzie gadzim zwyczajem / zostawiłam swoją skórę / ale / była za ciasna”*. To świetnie ujęte niedopasowanie się do życiowego skoku czasu. Natomiast w wierszu *„To tylko miejsce”* zawarty jest dojmujący niepokój, przykre wrażenie *„w które / podrzuciło cię niebo / na samotną wędrówkę”*. Czy wrzuceni w czasoprzestrzeń nie jesteśmy jedynie adoptowani przez świat? To ważny sposób niematematycznego rachunku nieprawdopodobieństwa, ujęcia rzeczywistości z dramatyzmem domniemanej, bezdusznej decyzji owego nieba i przypadkowości miejsca, w którym pojawia się nasze zaistnienie i bytowanie. Bezduszny przypadek narzuca odgórnie nieuchronną przyszłość kolejno rodzącym się istnieniom ludzkim. Tak bez mapy, bez tytułowej nawigacji, po kamienistej drodze podmiot liryczny stwierdza: *„wówczas z łatwością udaję kamień / z którego próżno wycisnąć łyż”*. Taka puenta jest niby oczywistością, jednak pełną pesymistycznej zgody na uproszczone, pozbawione kolorytu i emocji ujęcie konieczności bytu: *„biegnę dalej znowu dalej / po kocich łbach / po bezkres”*. Czy właśnie taka puenta koresponduje znaczeniowo z potocznym stwierdzeniem, że życie jest długie i szare, jak papier toaletowy...? Ascetyczny klimat tego tekstu przywołuje kosmiczną pustkę, pełną zgodliwej rezygnacji, akceptacji tego, co nieuniknione, dopóki nie osiągnie się równie beznadziejnego kresu. Podobnie w wierszu *„Popiół”*, w którym unicestwiony jest gorący porыв uczuć niby wystygły popiół, dochodzący jednak do głosu *„na stopienie się w jedno ciało / na rozgrzanie strun głosowych / współbrzmących”*. Znowu daje się odczuć brzemień swego rodzaju apriorycznej, osobistej rezygnacji, determinowanej czymś zewnętrznym.

W wierszu *„Na scenie”* przebija się absurdalna przypadkowość roli i scenografii wraz z rekwizytami na scenie i poza nią, z widzami, którzy siedzą, lecz *„nie wszyscy się śmieją”*. Autorefleksja, jak w wierszach *„Cudzysłów”*, *„Chwila”*, *„Uważność”*, *„Zmęczenie”*, oraz swego rodzaju dokonywanie rozliczeń z samą sobą, trwa i objawia się na rozliczne sposoby, jednak przy zachowaniu ciągłego, a istotnego zdystansowania, które jest tu środkiem wyrazu, wzmacniającym odczucie samotności, a nawet beznadziei, czy po prostu spokojnej rezygnacji.

Wiersz *„Dojrzałe ziarno”* jest osobliwym wołaniem o Boga, choć nie ma tu Jego śladu, jednak utwierdza w tym mniemaniu stwierdzenie: *„bo ja tylko ziarnem jestem / wrzuconym niedbale pomiędzy młyńskie kamienie / nawet jeśli zmielonym na mąkę / niekoniecznie będzie z niej chleb”*. Podobnie jest z wydzwiękiem wiersza *„Z kielicha”*, gdzie przywołany w nim „naparstek wiary” woła

w wierszu o pełnię kielicha wiary, poniekąd utraconego, zredukowanego do naparstka.

PROTOKÓŁ
kulturalny

Nr 92/2025

Utwór *„Śniłam”* przywołuje skojarzenie jakiejś ważnej akademii, sceny, na której za chwilę odbędą się występy. Autorka – olśniona narastającym napięciem, podniosłą atmosferą – rzecz *„odwróciłam się niepostrzeżenie / jak najszybciej zeszłam korytarzem / niewidzialna niesłyszalna / poza strojną wiszącą sceną / poza echem gorących braw”*. To bardzo plastyczna wizja, znana osobom pamiętającym PRL-owskie akademie, czy szkolne apele. To swego rodzaju analogia do życiowych, cichych ucieczek z pochodów, gali, przemówień, wreszcie z samego życia – napuszonego oficjalnością i koniecznym, wymuszonym prowadzeniem gry w maskach. Czyżby to ucieczka niejako intuicyjna, bez nawigacji, o której można tylko śnić?

Autorka nie ułatwia czytelnikowi percepcji wierszy. Próbuje go zaskakiwać swoistymi zakrętami, skokami w niewiadome, w meandry znaczeń i światłocieni. Bywa chropowata, oschła – choć pod tą skorupą oschłości i niekiedy cynicznego dystansu można wyczuć, że to wszystko jest jak bezbarwny sen, po którym jednak wraca światło dnia z jego kolorami, że gdzieś jednak jest gwiazda wyznaczająca nie tylko północ, ale i nadzieję, bo *„otrząsam się i wtedy z ramion / spada peleryna prestidigitatora / który przez wiele lat / z opuchniętych powiek wyciągał / króliczki śmiechu”* (z wiersza *„Rzesa”*). Czyż ludzkie życie w dużym skrócie nie wygląda, jak w finale wiersza *„Łąka”*: *„a dmuchawiec jak dmuchawiec / był / już go nie ma”*?

Wiersz *„Z ogniem”* przywraca jakże dobrze znany klimat kuchennego pieca, fajerek, ognia i tego jedyne go kolorytu dzieciństwa: tańczących płomieni. Są rzeczy, z którymi nie chcemy się zgodzić, choć pewnie nie mamy wyjścia, a nasz sprzeciw będzie dziecinny – przywodzi na myśl wiersz *„Wyhodował mnie świat”*. Można stwierdzić jednak, że wrodzona niezgoda na zniewolenie pozwala nam unikać tego, że jesteśmy tylko produktem czasu, miejsc i ludzi – zatem różnych okoliczności. Czy takiego finalnego odczytu w papierku lakmusowym czytelnika życzy sobie autorka tomiku *„Bez nawigacji”*? Wszak może się budzić niezgoda na takie ujęcie bytu, a może właśnie w tym rzecz? Wywołać niezgodę, wewnętrzną polemikę? Z tymi pytaniami bez kompasu, bez nawigacji należy dopłynąć z poezją Anny Landzwójcak do finału w wierszu *„Jak będzie”*. Wszak poetka zmusza do myślenia, do przetrawienia swoich tekstów, do znalezienia ziaren prawd, odczuć, konstatacji i zmierzenia się z nimi, tudzież wyłuskania ziaren poezji, odnalezienia jej śladów. Wydaje się, że w przypadku *„Bez nawigacji”* należy przeczytać tomik od początku do końca, wiersz po wierszu – bez przeskakiwania po pojedynczych utworach. Wtedy ten tomik staje się poetycko zrozumiały i spójny.

Anna Landzwójcak: *„Bez nawigacji”*,
Wydawnictwo Miejskie Poznań, Poznań, 2023.

Andrzej Wilowski

Bloom's Day

16 czerwca 2004.

Dokładnie tego dnia, sto lat temu bohater powieści Jamesa Joyce'a Bloom rozpoczął swoją Odyseję po ulicach Dublinia. Tego samego dnia Joyce opuścił Irlandię, do której już miał nigdy nie powrócić.

Powieść „Ulysses” opublikowano po raz pierwszy w Anglii w 1922 roku. Niemal od pierwszego wydania literacka Europa uznała ją za najważniejsze dzieło prozatorskie XX wieku. W rodzimej Irlandii krążyły plotki o dziwactwach autora, a o samej powieści mówiono, że nie da się jej czytać, bo jest tak hermetyczna. Nie przeszkadzało to przypisywać pisarzowi najrozmaitsze poglądy, od antykatolicyzmu poczynając po aprobatę dla najrozmaitszych perwersji. Pierwsze irlandzkie wydanie powieści ukazało się w Dublinie dopiero w 1962 roku.

Wtedy to Irlandczycy pogodzili się z faktem, że Joyce jest ich najwybitniejszym pisarzem. Pierwsze wydanie polskie stało się prawdziwą sensacją, choć spóźnioną o pół wieku. Polski przekład był życiowym dziełem Macieja Słomczyńskiego. Prace nad tym tłumaczeniem trwały prawie trzydzieści lat. Nikt nie wierzył, że zakończą się sukcesem. Tłumaczowi ciągle brakowało pieniędzy, kończyły się kolejne zaliczki i nie było możliwości tak częstych wyjazdów do Dublinia, jak byłoby to konieczne. Maciej Słomczyński pisał pod pseudonimem Joe Alex kolejne kryminały dla „Serii z jamnikiem”. Książeczki te można było kupić w każdym kiosku „Ruchu”, czytane chętnie w podróży, przez licealistów pod ławką w czasie nudnych lekcji, lektura ich należała też do dobrego tonu w towarzystwie. Nawet niechętni ustrojowi socjalistycznemu inteligenci czytali z upodobaniem Joe Alexa, widząc w nim emisariusza zachodniej kultury. Przez lata nie wiadomo nawet na salonach literackich, kto kryje się pod tym pseudonimem.

W setną rocznicę wędrówki Blooma po ulicach Dublinia krakowscy literaci zorganizowali głośne czytanie „Ulyssesa”. Dublinczycy świętują na ulicach, szczerze wypełnili puby. Liczne parady, koncerty, spektakle teatralne i to wszystko w międzynarodowej obsadzie. Do stolicy Irlandii przybyło wielu turystów, nie tylko literaci, krytycy i tłumacze, ale też ci, którzy usypiają przeczytawszy pół pierwszej strony „Ulyssesa”. Wszyscy jednak orientują się doskonale w peregrinacjach Blooma, dzięki dostępnym w księgarniach pomocom. Najbardziej wyrafinowany czytelnik znajdzie naukowe monografie, dla dociekliwych są leksykony, encyklopedie, a zwykły turysta może się zaopatrzyć w stosowne mapy i przewodniki po powieści i mieście. Odnalezienie większości powieściowych miejsc nie nastręcza większych trudności i to nie tylko dzięki mapom, ale również dlatego, że zadbano o upamiętnienie tych miejsc, a samo miasto w niewielkim stopniu zmieniło się od czasów, gdy mieszkał w nim James Joyce.

Dzisiaj lektura „Ulyssesa” nie napawa lękiem. Na początku ubiegłego stulecia powieściowa proza tkwiła w schematach narzuconych przez pozytyw-

wizm. Do II wojny światowej sztywno trzymano się reguł poszczególnych gatunków powieści. Wojna zburzyła dawny porządek świata, ale też język opisu rzeczywistości stał się nieadekwatny. Tym razem nie tylko pisarze awangardowi, ale twórcy literatury popularnej i publicyści sięgnęli do nowych technik narracyjnych. Symultaniczna narracja, polegająca na równoległym pokazywaniu zdarzeń. Rezygnacja z opowiadania w porządku chronologicznym na rzecz odnajdywania kontekstów i znaczenia poszczególnych epizodów. Technika „strumienia świadomości”, która pozwala w pełni pokazać świat wewnętrzny, przeżycia i emocje bohatera. Z tym wszystkim jesteśmy już oswojeni przez współczesną powieść i film, nawet nie zdajemy sobie sprawy z tego, że wszyscy ci twórcy pośrednio korzystali z doświadczeń Joyce'a. Warto więc obchodzić „Bloom's Day”, jeśli to pomaga nam w lepszym zrozumieniu współczesnego świata i samych siebie.



W numerze wykorzystano grafiki prof. Ryszarda Zdunka

Ryszard Zdunek - Absolwent Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Poznaniu. Od wielu lat zajmuje się architekturą wnętrz, dekoracją i malarstwem ściennym (w tym wielkowymiarowym), konserwacją dzieł sztuki. Uprawia malarstwo, rysunek, grafikę i rzeźbę. Jednym z najbardziej ulubionych tematów jest portret. Píše także teksty literackie (należy do Grupy Literackiej Na Krechę). Brał udział w licznych plenerach malarskich oraz wystawach indywidualnych i zbiorowych.

Z łaciątą na Dębe

Z ogrodu, z babcią Heleną, jak zawsze na cmentarz. Z kwiatami, z grabkami. Cienista, chłodna aleja lipowa, słodki zapach miodu z kwiatów lipowych. Po prawej stronie alei małe groby, grobiki. Na nich aniołki, czasem figurki – kotki, lalki. Groby dzieci. Odwracam głowę i sprawdzam, czy gdzieś nie wystaje ta ręka, o której babcia... Bo było kiedyś dziecko rozpieszczone, które zmarło nieukarane. Potem z grobu wystawała ręka. I czekała. Aż mądra, stara kobieta poradziła nieszczęsnej matce, żeby dłoń grzesznego dziecka wysmażała... Od tego czasu pacholę miało spokój. Ręka sama się skryła. Weszła pod ziemię.

Kolorowe – różowe, zielone kartki „Posłańca świętego Józefa”. Tu też – o nieposłusznym chłopcu: *Dziecku trzeba karku naginać*, o chłopcu, który nie chciał powiedzieć swojemu ojcu: A.

Ja nie umiem „A” wymówić. – Ojciec stanowczo powtórzył żądanie, ale chłopiec nie dał żadnej odpowiedzi. Ojciec wysmażał synka różgą. To samo powtórzyło się po raz drugi i trzeci, a różga stawiała się coraz bardziej dotkliwszą; chłopiec jednak milczał. Ojciec po raz czwarty wysmażał syna upornego. „Ojczu, już powiem”, odezwał się chłopiec rozplakany, ku wielkiej radości ojca, który wziął spokojnie książkę w rękę, a wskazawszy na głoskę A, zapytał się, „jak się to nazywa?” – „A”, odpowiedział chłopiec wyraźnie.

Złożona z jedenastu zeszytów ta piękna książka jest za jakieś inne, dawne pieniądze, bo za cały rok 1.30 marek, słane do „Kuryera Poznańskiego”. Na roczniku podpisał się redaktor X. W. Kałkowski w Wilczynie, tu blisko, koło Dusznik? Jest u dziadków i lustro. Dziwne, okrągłe, odbite i zaśnieżone, jakby pamiętało jakieś przeszłe, dawne czasy i osoby. Babcia Helena zakazuje stać przed lustrem, robić miny, bo nagle zobaczy się to, co się śni – albo to, co nie chce człowiek wiedzieć, pamiętać. Dużo też o człowieku powie się, gdy ogląda się jego ręce. Książkę o tym napisała Irmina von Kaltman. Ogląda się dłoń godzinę po jedzeniu. Moja linia życia szeroka i czerwona. Niedobra, bo to znaczy skłonność do występku, rozdrażnienia. Trzeba uważać na swoje ręce. To, co się robi, już się nie cofnie. Mówi o tym książka pt. „Straszna kara Boska o córce, która uderzyła swą matkę w twarz i ręka jej przyrosła do twarzy matki”. Są tu i inne broszurki bardzo używane, podarte, nadgryzione: „Dwaj bracia, prokurator i bandyta”, „Matka Dusicielka”, „Cudowne nawrócenie okrutnej macochy”. Są opisy zdarzeń, są i pieśni – „Prawdziwe zdarzenie o ojcu, który odciął rękę synowi za 100 zł w Powiecie Poznańskim”.

Ciągle w domu, ale wreszcie – wycieczka. Zamiast pieniędzy rolnik wolał dać krowę w rozliczeniu. Po co nam krowa? Czy dobra, zdrowa, kto się zna na krowie? Tym bardziej, że ona w Klempiczu, tam ją chłop doprowadził. Ona teraz w zagrodzie siostry Leosia Nawrota, zaprzyjaźnionego... W połowie drogi między Wronkami a Czarnkowem. Ojciec już wie, co z nią zrobić. Trzeba zaprowadzić do wujka Leona, do Śmieszkowa, tam duże gospodarstwo, zasobne. Pisali im przecież wapnem na domu: *Kulaku, zapisz się do spółdzielni* – albo: *Oddaj Państwu zboże*.

Brat Janek i ja mamy dotrzymać towarzysztwa bydłociu, zaprowadzić je z Klempicza do Śmieszkowa, bagatela, około 15-20 km. A jeszcze przedtem 15 km z domu do Klempicza. Mama daje nam butelki z kawą, torbę z chlebem. Pieszko, lasem, przez Nadolnik, Piłę, Smolnicę, Piotrowo, po prawej w lesie Annogóra, wlecemy się z bratem... I niespodzianka, ojciec swym motorem „simson” podjeżdża i podwozi nas, to jednego, to drugiego w stronę Klempicza. Tak szybciej, tak łatwiej... Wreszcie na zakręcie, jeszcze przed tymi dwoma dębami, gospodarstwo siostry pana Leosia. Omijają Janka i mnie długie rozmowy przy stole. Zmordowani padamy w stodołę na siano, na nasze legowiska. I nie mogę zasnąć, bo widzę ich tu młodych, pięknych, w pierwszych spojrzeniach, bo tu poznali się w salce tańca. Ojciec w modnym, sportowym stroju, mama wprost od fryzjera, mistrza z Lubasza. Tu więc był ten sklepik, a przy nim salka do tańca... Oboje przyjechali rowerami. Mama przez Smolary, z Gniewomierza, ojciec z Wronek. Śpię krótko, już budzą nas, słońce nisko i chłodno, krowa nie może się zmęczyć. Ojciec „simsonem” wraca do domu.

We dwoje, w trójkę, bo z naszą towarzyszką przez pola, lasy... Droga – nuda. Co tu robić? Ryczę do ucha rogatej, to z tej, to z tamtej strony. Bez odpowiedzi. Co rusz przysiadamy, nasza towarzyszka nie zawsze chce iść, staje, rozkracza się, kręci głową. Widzieliśmy to na filmach. Kowboj dosiada, zwierzę fika, zrzuca go. Próbuję i ja dosiąść krowiego grzbietu, ale rychło spadam na ziemię. Może gdyby siodło... Grzbiet kanciasty, twardy. Prosto przed siebie śrutówką na Lubasz.

Obok tego grobu leśniczego na skraju drogi, dalej pomnik ruskich zwiadowców, zrzuconych pod koniec wojny. Przez Brzeg, Mikołowo, Bończę i już Krasna Góra w Lubasz, a na Górze wysokie, jasne mury kościoła – sanktuarium Najświętszej Matki Lubaskiej, święte, rodzinne miejsce. Tu wszystkie nasze chrzty, śluby. Chciałoby się wejść na Krasną Górę, usiąść, odpocząć w ławkach, w chłodzie świętych murów. Ale jak? Z krową? Ojciec wybrał nam tę drogę. Żałuję, że nie przez tamten las – przez Bielawy, zarastającą sośniną wieś i Smolary (blisko Pokraczyn), koło Góry Św. Huberta, tam gdzie hrabia i dziadek łowczy – krzyż dębowy postavili. Przez Krucz, przez naszą leśniczówkę – Gniewomierz... Ale to byłoby bez sensu, droga naokoło. *Wstał do piekiel, po drodze mu było...* jak mówi babcia Helena.

Wreszcie Dębe, tu drogowskaz na prawo, na Śmieszkowo, górki, pagóry... Droga jakby weselsza, bo już i blisko... Od strony podwórzca, od stodoły, tam gdzie ta duża grusza, wreszcie wchodzimy na rozległe podwórze, wprost w ramiona wujka Leona...

Ten wujek ze wszystkich najweselszy, gra na mandolinie, śpiewa i na listku brzoźowym umie zagrać „Serdeczna matko, opiekunko ludzi...”

Jerzy Grupiński: „Chleb od zająca”, Wyd. Bogucki Wydawnictwo Naukowe, Poznań 2022.

Józef Zdunek

6 IX 1937 - 5 II 2025

Żegnamy Józefa Zdunka – poetę, zasłużonego historyka – regionalistę Ziemi Krotoszyńskiej, autora dziewięciu książek poetyckich. W wierszach wyrażał podziw dla życia, zadawał trudne pytania. Pozostanie poetą jasno patrzącym na świat, z życzliwością spoglądającym na człowieka, na każdy niemal dzień mimo niełatwych doświadczeń, jakie przyniosło Mu życie. Nadziei i piękna starał się doszukiwać w naturze. To wtedy – przekonywał – pokonać możemy oszustwa, biedę, fałszywe polityki, niszczenie przyrody, zagubienie świata.

Janusz Urbaniak

Kazimierz Rafalik

2 V 1938 – 13 II 2025

Pożegnaliśmy Kazimierza Rafalika, członka wielu stowarzyszeń twórczych, wybitnego artystę rzeźbiarza uprawiającego także malarstwo i fotografię. Utalentowanego twórcę wypowiadającego się również w słowie, dziennikarza. Zostaje w naszej pamięci Jego sylwetka dobrego człowieka, bezinteresownego współtwórcy i darczyńcy wielu inicjatyw kulturalnych.

Kaziku, zostają z nami Twoje rzeźby emanujące bogatą symboliką, tajemnicą piękną.

Jerzy Grupiński

Drogie Siostry i drodzy Bracia w Słowie!

Oto wrócił się nam niespodzianie Syn Nasz Marnotrawny - Krzysztof Gołębiowski, porzuciwszy życie zawodowe i emerytalne. Ongiś - w latach 70. i 80. ubiegłego wieku - czynny członek Klubu Literackiego w poznańskim Zamku (dawniej Pałacu Kultury), laureat konkursów, publikujący w almanachach i periodykach literackich.

Dziś - późny debiutant (autor tomiku poetyckiego "Romans Beaty Stepanoff i inne wiersze", Ridero, 2023) gotów podjąć nowe wyzwanie: prowadzenie profilu naszego Klubu Literackiego "Dąbrówka" na Facebooku. Pomóżmy naszemu Przyjacielowi (i sobie), przesyłając ciekawe informacje na temat Klubu, „Protokołu Kulturalnego”, środowiska literackiego i własnej twórczości na adres e-mail: k.t.g@icloud.com

J G - założyciel Klubu Literackiego w Zamku (1970).

Maria Kogut

Rzeźbiarz

Do kawałka drewna głuchego jak pień
przemawiał czule
długimi pociągnięciami dłuta
łagodząc jego ostrze.
Aż spomiędzy słojów
wydobył śpiew ptaków,
pszczoł brzęczenie,
zielony szmer liści.
A drewno pogodzone z nim
rozśpiewało się słoneczną nutą.



Świątek autorstwa Mieczysława Koguta